

Krakowska Prowincja Karmelitów Bosych
Archiwum

Biuletyn misyjny

Nr 10

MISJE KARMELITAŃSKIE

**Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych**

1974

WROCŁAW

SPIS TREŚCI:

Na wstępie,

Patronka Misji Karmelitańskich

Listy Misjonarzy:

List O. Eliasza do Sióstr Karmelitanek Bosych na Wesołej – Mpinga 29.05.1973

List O. Eliasza do Ojca Sekretarza – Mpinga 7.03.1974

List O. Eliasza do brata Józefa – Mpinga 4.08.1974

List O. Teofila – Mpinga 28.11.1973

List O. Teofila do Przyjaciół – Mpinga, grudzień 1973

List O. Teofila do Przyjaciół – Mpinga 3.04.1974
List O. Teofila do Ojca Sekretarza – Mpinga 8.04.1974
List O. Teofila do Ojca Sekretarza – Mpinga 5.06.1974
List O. Teofila do Przyjaciół – Mpinga 5.06.1974
List O. Teofila do Przyjaciół – Mpinga 12.07.1974
List O. Teofila do OO. Józefa i Jana – Mpinga 4.08.1974
I List M. Zygmunty – Mpinga 18.12.1973
II List M. Zygmunty – Bujumbura 29.01.1974
III List M. Zygmunty – Muyange 24.02.1974
IV M. Zygmunty – Musongati 2.05. 1974
List M. Zygmunty do dzieci – Musongati 2.05.1974

[Modlitwa misjonarza](#)

[Liczby, które dają do myślenia](#)

[Żniwo wielkie, ale robotników mało](#)

[Powrót misjonarza-karmelity do Polski](#)

NA WSTĘPIE

Przedostatnią niedzielę października Kościół katolicki poświęca misjom. Wszystkim wiernym przypomina w tym dniu o obowiązku współpracy i śpieszenia z pomocą dziełu misyjnego.

Zwraca uwagę, że misje wciąż są aktualnym i bardzo palącym problemem całego Kościoła.

Odpowiadając na ten apel, poświęcimy sprawom misji Niedzielę Misyjną i następujący po niej tydzień.

Aby bowiem misje naprawdę uczynić sprawą swojego serca i chrześcijańskiego sumienia, trzeba je szerzej i głębiej poznać.

VIII Tydzień Misyjny obchodzić będziemy pod hasłem: „**W jedności z Kościołem Powszechnym**”. Chcemy przez to zwrócić uwagę, że misje w swojej istocie przede wszystkim pragną służyć Kościołowi i człowiekowi. Mówi się, że celem misji jest Kościół w krajach jeszcze niechrześcijańskich. Nie zaprzeczając temu, trzeba jednak przypomnieć, że Kościół jest tylko środkiem. A jego celem – człowiek potrzebujący Bożego zbawienia. Chrystus po to założył na ziemi Kościół, aby on służył łaską zbawienia wszystkim ludziom. Misje pełnią to zadanie wśród tych narodów, gdzie Kościół jeszcze nie istnieje, lub jest jeszcze bardzo młody. Zbawienie człowieka pojmowane jest na terenach misyjnych bardzo szeroko: w znaczeniu przyrodzonym i nadprzyrodzonym. Misjonarz musi dostrzegać całego człowieka, wszystkie jego potrzeby i starać się je zaspokoić. Stąd misje tak wydatnie pracują

na rzecz rozwoju społeczno-gospodarczego krajów misyjnych. Ale właściwą rolą misji jest i pozostanie duchowa przemiana ludzi. Jeśli dziś, mimo tak wielkiego nakładu środków ze strony różnych instytucji nadal dostrzegamy w krajach misyjnych tyle niesprawiedliwości społecznej, gwałcenia praw człowieka, wojny, głód i nędzę, to przyczyny tego stanu należy widzieć przede wszystkim w upadku grzechowym człowieka.

Coś zmienić tu może jedynie chrześcijaństwo, które zmierza do wewnętrznej przemiany człowieka. Zostać chrześcijaninem, oznacza prowadzić nowe życie, przyoblec się w nowego człowieka, stworzonego według wzoru Boga w sprawiedliwości i świętości, w pokoju i miłości. Misje kształtują takiego człowieka, przyczyniają się przez to do wyzwolenia narodów spod duchowego i materialnego ucisku. Misjonarzy możemy więc nazwać budowniczymi nowego świata, nowej ludzkości.

A oto ramowy program Tygodnia Misyjnego:

1. Każdy dzień ma wyznaczoną szczegółową intencję, około której pragniemy skupić myśli i serca.
2. We Mszy św. będziemy używali w miarę możliwości formularza „O rozkrzewienie wiary”. W modlitwie wiernych codziennie polecać będziemy Bogu potrzeby całego Kościoła.
3. Codzienny różaniec będziemy odmawiać za misje, zwłaszcza w intencji danego dnia oraz wysłuchamy czytankę misyjną.
4. Dla dzieci i młodzieży urządzimy specjalne nabożeństwo, w którym szczególną uwagę zwrócimy na budzenie nowych powołań misyjnych.
5. Nie zapomnimy i o ofierze materialnej. Modlitwa bez czynu - to byłoby za mało. Misje oczekują od nas pomocy materialnej. Nie każdy może iść jako misjonarz czy misjonarka do Azji czy Afryki. Ale każdy powinien pomóc tym, którzy to czynią. Dlatego w Tygodniu Misyjnym duszpasterze zachęcają wiernych do wzmożonej ofiarności na misje i dają im okazję do składania ofiar przez zbiórkę na tacę lub umieszczenie specjalnych puszek. Zebrane ofiary, jako własność misyjną, bez żadnych uszczupień przekazuje się na misje za pośrednictwem Sekretarza Prowincjalnego Misji Ojców Karmelitów Bosych we Wrocławiu, względnie Zelatorów poszczególnych Ośrodków Misyjnych przy naszych Domach Zakonnych.

REDAKCJA

PATRONKA MISJI KATOLICKICH

Bóg jest wiernym i najlepszym naszym Ojcem.

Miłość Jezusa nie zawodzi.

Duch Święty przybywa z pomocą naszej słabości.

A Kościół potrzebuje ponad wszystko świętości.

A przez to pomocy w posłudze Sprawie Bożej!

Świętość promieniuje i apostołuje!

ŚW. TERESA OD DZIECIĄTKA JEZUS I ŚWIĘTEGO OBLICZA – Karmelitanka

Bosa, której setną rocznicę urodzin obchodziliśmy w ubiegłym roku, jest najlepszym dowodem, że świętość promieniuje i apostołuje. Jej życie jest krótkie. Na pozór zwyczajne, a tak bogate w cnoty ukryte, w miłość płomienną, żarliwą, apostołską. Święta zajaśniała prawdziwym blaskiem w Kościele, stała się pociągającym przykładem dla wszystkich, a także stała się Ozdobą całego Zakonu Karmelitańskiego. Okryła chwałą wszystkie Zakony kontemplacyjne, wykazując wartość życia ukrytego, oddanego miłości Bożej, praktyce cnót cichych, przez które więcej można przysłużyć się sprawie Bożej, aniżeli przez rozległe i wielkie na zewnątrz czyny, ale spełniane z mniejszą miłością i mniej czystą intencją.

Dzisiejsza ludzkość lęka się surowości życia, ale pragnie miłości. I oto św. Teresa od Dzieciątka Jezus przychodzi. Wielka Święta, a jednak taka prosta, taka dostępna, taka do każdego miejsca i zajęcia odpowiednia, że każdy czuje, że naśladować Ją można.

Niesie miłość, z różą idzie i przez serca ludzkie i przez światy i przez kraje. I tak wdzięcznie ją niesie, iż każdy lgnie do Niej. Dlatego taka kochana, taka miła, serce z miłością niesie wszystkim! To arcydzieło Boskiego Mistrza, złożone z miłości i prostoty, ozdobione nadnaturalną pięknnością. Ta róża rozkwita w kielichu umartwienia, lecz tego nie widać.

Z jakiej strony przypatrzymy się św. Teresie? Weźmy pod uwagę to, co nigdy nie starzeje się, nigdy nie więdnie – a tym jest miłość!

Miłość porównywać można do ognia i płomienia. Ogień musi być, musi być ognisko, bo inaczej płomienia nie będzie, ale ognia nie widać, tylko płomień.

Miłość Boga – to ogień, ale tego ognia nie widzimy. Płomieniem tym przepala serce ludzkie.

Serce św. Teresy od Dzieciątka Jezus – to ognisko, to ogień, z którego dobywa się płomień trawiący, niszczący. Kocha Boga do ostatnich granic, jak sama mówi: „**Chcę tak kochać Jezusa, jak jeszcze nie był kochany**”. Kocha Boga, a ta miłość jest matką miłości, która obejmuje dalsze kręgi.

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus powiada o sobie: jestem maleńka, do wielkich czynów nie jestem stworzona, ale moim zadaniem będzie kochać – miłością będę – sercem będę – i tą miłością obejmę wszystkich. „**Moim powołaniem jest miłość!**” – „**Tak, znalazłam me miejsce w Kościele, w sercu Kościoła, mej Matki, będę Miłością! W ten sposób będę wszystkim, marzenie moje zostanie spełnione**”.

Św. Teresa rozumie dobrze, że trzeba materiału palnego, trzeba do ogniska dorzucać ciągle, inaczej ogień zgaśnie. Dlatego niestrudzona jest w uczynkach miłości.

„Przykazanie nowe daję Wam, abyście się wzajemnie miłowali, jakom Ja Was umiłował” – mówi Pan Jezus. Święta chwytą to przykazanie nowe; pyta się, czy go dawniej nie było, dlaczego nowe? – Bo nowy sposób miłości: „Kochajcie się nawzajem, jakom Ja Was umiłował”. I rozważa Święta, jak Pan Jezus miłował i kochał. – Nie otaczał się uczonymi, mędrkami i dostojnikami świata; wybrał uczniów prostych, braćmi ich Swoimi nazywał, przyjaciółmi mienił, życie dał za nich.

I to pierwsza zasada, którą św. Teresa głosi: - **Miłość jeśli ma być miłością, musi tryskać z nadprzyrodzonego źródła i obejmować nie tylko tych, którzy nam bliscy, drodzy, sympatyczni, ale jak z Serca Bożego - przelewać się ma na wszystkich – bez wyjątku!**

Na czym polega miłość?

Św. Teresa głosi: **gdy widzisz błędy bliźniego, nie patrz na nie, ale gdy zobaczysz cnotę, buduj się nią i zachwycaj!** – Nie zamykaj miłości twojej w sercu, bo nikt nie zapala świecy i nie kładzie pod korzec. – Miłość musi tryskać z ogniska. Gdzie nie pomoże lekarstwo, uzdrowi miłość.

Większej ofiary nie zna miłość bliźniego nad tę, gdy mu trzeba usłużyć: **„Jeśli Cię kto prosi, to daj, a jeśli dasz, nie odbieraj”** – Mówi Pan Jezus. Oto jest zasada św. Teresy: **nie zamykaj miłości w sercu, zapomnij o swoim interesie, a uczyn się sługą bliźniego.**

Nic tak szerokiego – jak pole miłości.

Dawaj – powiada Święta – **darmo wzięłeś, darmo dawaj, niech z daru Bożego korzysta bliźni! Nie postawił Cię Bóg Sędzią, ale Aniołem pokoju; ustąpić trzeba, aby miłość miała rację.**

To są zasady wspaniałe. A jaka Ona w tej miłości jest prosta, serdeczna, na zewnątrz uśmiech i wesele, choć w sercu najczęściej krzyż.

Nie można się dziwić, że św. Teresę od Dzieciątka Jezus pokochał świat cały, że Nią się zachwyca, że wszyscy podziwiają tę Różę Karmelu. Ale miłość św. Teresy nie byłaby pełną, gdyby do niej nie przystąpiło coś więcej! Ta miłość wylewa się nie tylko na tych, w których otoczeniu żyje, którzy Ją kochają, ale wydobywa się za kratę, daleko. **„ Panie, daj mi dusze, a resztę zabierz”**. – Cała poświęciła się zbawianiu dusz. **„Aby dla siebie zarobić, aby dla siebie wiele pozyskać, na to nigdy nie miałam czasu – mówi o sobie – bo zawsze dawałam”**.

I oto ta Święta wybiera się na podbój dusz, nie z umartwieniem, nie z czuwaniem, ale z inną bronią: **„moją bronią – Miłość! po to przyszłam do Karmelu, aby niebo zapełnić duszami”**.

I stała się Ona, ukryta za kratą: męczenniczką miłości, apostołką, misjonarką. Kiedy kończyła życie, prosiły Ją siostry zakonne, aby na nie patrzyła z nieba, a Ona na to: „nie spoglądać, ale zstępować będę na ziemię”. „Czuję, że moje posłannictwo wnet się rozpocznie – posłannictwo pociągania dusz do kochania Boga tak, jak ja Go miłuję, wskazywania drogi ufności i całkowitego zdania się na Boga”.

„Nie będę mogła spocząć do końca świata, dopóki będą dusze do zbawienia. – Lecz kiedy Anioł zawoła: ‘czas już przeminął’, wtedy spocznę i będę mogła się cieszyć, bo liczba wybranych będzie wypełniona i wszyscy już będą zażywać radości i pokoju. Serce me raduje się na tę myśl”. – „Jedno mnie pociąga – kochać i być kochana i powracać na ziemię, by szerzyć miłość dla najwyższej Miłości!”

„Niebem moim będzie czynić dobrze na ziemi” – mówiła.

Idzie ta Święta Teresa przez kraje i morza. Misjonarka nawraca pogan: męczenniczka Miłości – daje ten płomień, który Ją trawił. Królestwo dusz zdobywa dla Jezusa, a jednocześnie zdobywa Królestwo miłości ludzi, którzy się do Niej garną. Przelewa z czystego, a gorącego swego serca miłość na wszystkich, aby wszystkich pozyskać dla Chrystusa.

I wciąż wyprasza łaski tym, którzy o to proszą: grzeszników jedna z Bogiem, biednych wspomaga, chorych leczy, z pomocą wszystkim przychodzi. Kapłanów zapala gorliwością, życie zakonne wzbogaca, wszystkich do świętości wzywa, miłością rozplómienia.

*O Święta, o Święta Tereso -
Przychodzisz do nas uśmiechnięta
Z naręczem wonnych, świeżych róż.
Przychodzisz cicha, jasna, święta,
W złotym rozbłysku niebnych zórz.
Miłowań cudny niesiesz dar.
Rozpala Cię miłości żar!
O Święta, o Święta Tereso!*

Święta Teresa od Dzieciątka Jezus wciąż spełnia swe zadanie: uczy poznawać i kochać Miłość, współczującą Miłość Boga, Jego dobroć Ojcowską względem nas biednych grzeszników.

Zanurzona w toni widzenia uszczęśliwiającego czuwa nad nami, czyniąc cuda, przewyższające Jej niezmiernie pragnienie miłości i żarliwości apostoelskiej.

LISTY MISJONARZY

Listy O. Eliasza:

-List do Sióstr Karmelitanek Bosych na Wesotej:

Mpinga, 29.05. 1973

Przewielebna Matko Przeoryszo!

Wiele obiecywałem, że będę pisał i pamiętał o Czcigodnym Waszym Zgromadzeniu na Wesotej. W modlitwach (in genere) pamiętam, ale z pisaniem listów to gorzej. Nie przychodzi mi to łatwo, a i czasu nie mam za wiele. Zależy mi na tym, żeby opanować kirundi, bo już wkrótce opuści nas O. Hauseur, który nas wprowadzał we wszystkie „tajemnice” biura parafialnego. Od połowy lipca zostaniemy sami (Polacy) i musimy przejąć całą pracę. Praca tutaj różni się bardzo od tej w Polsce.

Sprawy małżeńskie są tu skomplikowane. Trzeba uwzględniać zwyczaje miejscowe. Sprawa katechumenów i katechistów pochłania wiele czasu. Wszystko to przejdzie wkrótce na naszą odpowiedzialność. Sytuacja polityczna znów się pogarsza. Znów rozpoczęto aresztowania i egzekucje, znowu nagonka przeciw Białym, szczególnie przeciw Belgom. U nas w Mpinga, dwa tygodnie temu, wojsko aresztowało wiele niewinnych ludzi, między innymi katechistę, a zarazem i prezesa organizacji młodzieżowej. Było to w niedzielę. W tym samym dniu dowiedzieliśmy się, że już nie żyje. W takiej sytuacji traci się ochotę i zapał do pracy. Trudności nam nie brak. Myślę jednak, że te trudności są też jakimś znakiem Bożym i gwarancją, że nasze Misje w Burundi przyniosą dobry owoc dla Kościoła i dla Zakonu. W początkach naszej Reformy, św. Matka Nasza Teresa, też miała nie mało trudności. Liczymy więc szczególnie na Waszą pomoc w modlitwach, zwłaszcza teraz, w tak trudnym okresie. Proście gorąco za nami przed Bogiem, abyśmy mogli dobrze spełniać misję powierzoną nam przez Zakon i Prowincję, żeby pokój w Burundi nastąpił i miłość.

Powodem tych walk wewnętrznych kraju i ataków zza granicy jest tylko nienawiść i zemsta, między plemionami. Teraz widzimy jak bardzo chrześcijaństwo jest tu powierzchowne. Cóż, dopiero 70 lat chrześcijaństwa w Burundi. Módlcie się za tym biednym ludem, który cierpi i za nami, żebyśmy mogli spokojnie pracować.

Od dwóch tygodni w domu mówimy tylko po polsku, bo O. Hauseur zachorował i wyjechał leczyć się do Bururi. Wróci chyba w niedzielę tj. 3. VI wraz z biskupem Martin. W tym dniu ma przyjechać także nasz nowy bp Joachim Ruhuna z Ruyigi. Będzie to jego pierwsza wizyta przed objęciem swej diecezji. Biskup Martin przedstawi go nam i wiernym w Mpinga. Na tę uroczystość przyjedzie O. Jan Kanty i O. Kasjan z Bulirasazi, może także br. Marcei i O. Kamil.

Nie będziemy jednak urządzać żadnych zewnętrznych uroczystości ze względu na sytuację polityczną.

Wspomniałem, że kilku jest nas tutaj. Tak więc O. Teofil – Ojciec Wikary Prowincjalny ma tutaj swoją siedzibę, O. Klaudiusz jest prokuratorem, a br. Sylwester jest mu do pomocy. O. Sylwan „uczy się” na proboszcza i jest równocześnie przełożonym domu, ja jestem jego wikarym. Brewiarz mówimy wspólnie po francusku. Myślmy także o nieszporach niedzielnych w kirundi z ludem, ale to potem, jak wszystko się uspokoi i zostaniemy sami.

Dziękujemy za modlitwy w intencji naszej Misji i proszę o jeszcze... W naszej małej wspólnocie pamiętamy o naszych Dobrodziejach Misyjnych, a szczególnie o Was, Czcigodne Siostry, bo Wasze modlitwy i ofiary są nam szczególnie drogie.

Pozdrawiam w Chrystusie Przewielebną Matkę Przeoryszę i całe Czcigodne Zgromadzenie

br. Eliasz Trybała

JMJT

Mpinga 7.03.1974

Przewielebny Ojciec Sekretarzu!

Mając dzisiaj więcej wolnego czasu, chcę przesłać Wielebnemu Ojcu trochę wiadomości z naszej pracy w Mpinga. Chcę również zapewnić o naszej pamięci w modlitwach za wszystkich naszych Szanownych Dobrodziejów Misyjnych. Chcę podziękować przede wszystkim Drogiemu Ojcu Sekretarzowi za wielki trud organizowania pomocy dla naszej placówki w Burundi. Przynajmniej 2 razy w miesiącu odprawiam Mszę św. za naszych Drogich Dobrodziejów. Zdajemy sobie sprawę, że cała nasza działalność i utrzymanie zależą od zaplecza duchowego i materialnego Naszych Rodaków.

Od połowy sierpnia jestem w Mpinga, wydaje mi się, że to nie dalej jak tydzień temu zostałem przeniesiony. Czas tu leci szybko, choć słońce zawsze jednakowo odmierza czas. Mamy teraz więcej pracy niż zwykle. Przeprowadzamy egzamin wszystkich przygotowujących się do Chrztu lub do I Komunii św. Przed samymi Świętami Bożego Narodzenia mój przełożony O. Housseur polecił mi przeprowadzić rekolekcje dla dzieci przed I Komunią św. Wystraszyłem się tego zadania, bo przecież nie znam na tyle kirundi, żeby głosić dwie nauki dziennie przez 3 dni. Mówiłem br. Sylwestrowi, że jeżeli te rekolekcje jakoś „przeżyję” to będę szczęśliwy. Nie miałem wiele czasu na przygotowanie. Pierwszą naukę wygłosiłem z wielkim strachem, potem już poszło łatwiej... Przekonałem się, że to nie takie straszne, dzieci słuchały mnie z uwagą, choć mocno kaleczyłem kirundi. Odwagi dodawała mi świadomość, że tylko dzieci będą mnie słuchały, a było ich tylko 28. Zawsze to śmielej mówić do małej grupy. We środę, tj. 10 stycznia mam przygotować inną znów grupę do I Komunii św., w Musongati, kaplicy pomocniczej oddalonej od misji o 55 km. I Komunia św. tutaj nie jest tak uroczysto obchodzona jak w Polsce. Nie ma tu białych lilii z papieru, ani białych jak śnieg sukienek, ani pamiątkowych obrazków. To jednak nie przeszkadza, że dzieci z nie mniejszym niż w Polsce przeżyciem przyjmują Pana Jezusa do swoich serc. Na dzień I

Komunii św. dzieci ubierają się w czyste, nie zawsze nowe koszule i sukienki. Na szyi zawieszają prosty różaniec za 8 fr.

Nasza parafia w Mpinga ma 11 kaplic, które odwiedzamy co dwa miesiące, są inne mniejsze kaplice-szkółki, które odwiedza się tylko od czasu do czasu, jak jest możliwość. Już te 11 kaplic pochłania wiele czasu. Jest to jednak praca wdzięczna. Kaplice położone są na różnych wysokościach, więc i klimat jest różny i parafie nieco inne, ze swoim odmiennym akcentem.

Przeprowadzając egzaminy przypominam sobie te swoje, które przechodziłem w Krakowie na teologii. Mnie oszczędzano na egzaminach, więc staram się i innym nie robić trudności. Tu jest nieco inna metoda egzaminów niż na filozofii czy teologii. Dzieci uczą się pytań i odpowiedzi katechizmowych na pamięć i przy egzaminie trzeba ściśle trzymać się tych pytań! Jeżeli zmieni się szyk wyrazów lub ułoży się pytanie po swojemu, dziecko milczy. Czasem trzeba pytać w odpowiednim tonie. To są jeszcze stare metody, próbuje się nowych, ale trzeba pamiętać, że ludzie są prości i nie rozumieją jak my, Europejczycy. Pytałem raz dziecko: Powiedz mi „Chwała na wysokości Bogu...”. Zamiast recytować, dziecko zaczęło śpiewać, bo tylko w takiej formie umie.

Br. Sylwester też ma wiele pracy koło misji. Sieje polskie jarzyny, sadi przeróżne „okazy” drzew i roślin, które znajduje w okolicy. Po świętach pojechał do Bukirasazi, żeby tam pomóc na misji. Wróci 14 stycznia. Święta spędziliśmy razem po polsku, wszyscy ojcowie zjechali się na parę dni do Mpinga.

Oto trochę wiadomości z naszego codziennego życia. Polecamy się gorąco modlitwom Dobrodziejów i Współbraci w Polsce.

Serdecznie pozdrawiam w Chrystusie.

O. Eliaz k. b.

JMJT

Mpinga, 1e 4/08/74

Kochany Bracie Ojcie Józefie!

Czekałem niecierpliwie na wiadomości od Ciebie, nie wiedziałem czy otrzymałeś święcenia i kiedy odprawisz prymicje. Za list i kartkę z Zawoi dziękuję. Cieszę się, że już jesteś kapłanem Chrystusa. Obyś zawsze tak święcie i gorliwie odprawiał Mszę św. jak w dniu prymicji. Pamiętałem w modlitwach w dniu twych święceń i Prymicji. Byłem wtedy na stacji misyjnej w Kiguhu. O. Prowincjał pierwszy opisał prymicje. Myślę, że cała Rodzina i Rodzice byli zadowoleni. Jak widzę, bogate były Twoje prymicje. Przywieź zdjęcia i trochę obrazków z Prymicji. Czy O. Marcin i O. Tarczycusz czy O. Bernard byli na prymicjach?

Czekamy na Wasz przyjazd. Przyjeżdżajcie jak najprędzej. Nie czekajcie na O. Teofila ani na O. Prowincjała. O. Teofil wyjeżdża w połowie września do Polski, zatrzyma się chyba w Rzymie. Nie wiem, czy już wszystko macie załatwione. Najlepiej byłoby wyrobić sobie wizę do Burundi z Brukseli. Mieszkalibyście te parę dni u Naszych Ojców lub u Ojców Białych, którzy by Wam bardzo chętnie pomogli w załatwieniu wizy i w zakupieniu biletu na

samolot do Bujumbura. Z Brukseli są bezpośrednie połączenia do Bujumbura. Kto Wam płaci podróż do Brukseli (czy do Rzymu)?. Możecie kupić bilet po otrzymaniu czeku z zagranicy. Nie zapominajcie o szczepieniu!

Do samolotu można zabrać bagaż do 20 kg, prócz tego bierze się bagaż podręczny (koło siebie) około 10 kg (nie ważyć go). Już pisałem Ci kilka razy, jakie rzeczy są tu potrzebne. Książki z zakresu stolarki mamy tutaj. Zresztą weź, jakie uważasz.

Jutro O. Teofil rozpoczyna rekolekcje dla naszych Sióstr Karmelitanek. Jest tu też jedna Siostra Szarytka, Polka, pracuje w Burundi. Ty też licz się z możliwością, że kiedyś będziesz musiał głosić rekolekcje dla Sióstr czy księży po francusku. Myślimy założyć dom rekolekcyjny dla księży w Mpinga. Ks. Biskup pytał się kiedy przyjedziecie i gdzie będziecie pracować. Biskup chce, żebyśmy wzięli jeszcze jedną misję, gdy nas będzie dużo. My jednak chcemy życia zakonnego, a nie tylko misyjnego jak inni. Nasze zadanie to nie tylko parafia, ale świadectwo życia zakonnego, którego tu nie ma w Burundi. Żeby można mówić o życiu zakonnym, trzeba żebyśmy stanowili większą wspólnotę. W małej grupie (czterech) trudno mówić o aktach wspólnych, gdy jeden jest na wyjeździe, drugi zajęty parafią itd.

Myślę, że już dobrze znacie język francuski. Języka trzeba się stale uczyć. Znam księży i siostry, które były we Francji 5 lat, a nie mówią dobrze po francusku. Język sam nie wejdzie do głowy. Jak bardzo to upokarzające, gdy nie zna się języka, mimo, że jest się 3 lata.

O. Sylwan z br. Sylwestrem zaczęli przebudowę jednej stacji misyjnej. Potrwa ta praca najmniej z miesiąc. W Musongati budowa postępuje. Wkrótce będą zakładać dach.

Nie piszę do domu w Zawoi, bo nie wiele mam co pisać. Praca zawsze ta sama.

Napisz jeszcze przed odjazdem, jak poszedł egzamin na prawo jazdy.

Spieszcie się z wyjazdem. Do zobaczenia. Serdecznie pozdrawiam

Twój brat Eliasz.

Listy O. Teofila;

JMJT

Mpinga, 28.11.1973

Przewielebny i Drogi Ojcze!

Jakoś nie bardzo się spodziewałem, że jeszcze kilka słów zdążę przesłać przed Bożym Narodzeniem, ale na szczęście znalazła się dzisiaj chwilka, więc stukam. Bardzo serdecznie dziękuję za ten list z października.

Wielkich nowości u nas nie ma. Pracujemy, pracujemy i wciąż nie możemy się odrobić. Za dużo na raz rozpoczęliśmy robót. Jakoś jednak jedno po drugim się kończy. I zacznie się prawdziwa budowa, do której się gotujemy, zbierając materiał. Nie jest to takie łatwe w obecnej sytuacji gospodarczej naszego kraju, ale przecież przy Bożej pomocy i pomocy św. Prowincji wiele będzie można zrobić. Szkoda tylko, że jeszcze nie można było zacząć. Niestety, okazuje się, że miejsce pod budowę nie jest jeszcze naszą własnością, więc trzeba czekać na załatwienie prawa własności.

Udało się nareszcie sprowadzić 8 pak. Mieliśmy szczęście, dogadaliśmy się z jednym urzędnikiem na cle i wypisał nam, że chodzi o rzeczy przesiedlenia i nawet nie zaglądano do pak. Wędrówka z Dar-es-Salaam kosztowała 160\$ + przewóz do stolicy. Na razie jedną tylko otrzymaliśmy. Dziś br. Marceli przywiózł z Musongati trzy. Na pewno się przesyłka opłaciła i sądzę, że jeżeli Siostry nie będą robić dosyłki, to by można coś, jak rzeczy przesiedlenia na ich adres posłać, albo też poczekać i przy przyjeździe naszych nowych misjonarzy posłać więcej bagażu. Bóg zapłać stokrotnie za wszystko!!

Na nowych misjonarzy bardzo, bardzo czekamy! Chcielibyśmy, by już w czerwcu byli na miejscu. Pisałem o tym do N. O. Prowincjała, ale proszę też Drogiego Ojca, by jakoś tak urobił atmosferę, by O. Józef mógł wcześniej odprawić prymicje i już w czerwcu przyjechać razem z O. Janem Wołkiem i oczywiście z innymi, gdyby się udało kogoś znaleźć!!! Chodzi o to, żeby się trochę rozglądali po naszym terenie, by na kurs języka we wrześniu nie szli prosto z pociągu czy raczej z samolotu. A chcielibyśmy, by kurs zaczęli we wrześniu, bo potem jeszcze staż pracy i jak z doświadczenia wiemy, dopiero po dwu latach można liczyć, że potrafią pracować na pełnych obrotach. A po dwu latach będziemy musieli pomyśleć o wyjeździe na „urlop”, trzeba to bowiem jakoś rozłożyć, nie możemy przecież wszyscy na raz wyjechać, tak jak przyjechaliśmy. A nie daj Boże, gdyby ktoś zachorował, to już byłoby źle bez nowych, bo w tej chwili ledwie, ledwie potrafimy odstawić pracę.

Sprawę lekarstw od p. Kwiatkowskiego będziemy załatwiać dopiero po przyjeździe Sióstr, będą bowiem jakieś podstawy do starań w ich uprawnieniach.

Właśnie czekamy na ich przyjazd. Jeszcze nie mamy potwierdzenia, że wsiądą do samolotu, ale w przyszłym tygodniu jedziemy do stolicy dla załatwienia niektórych spraw i mamy nadzieję, że przywieziemy także dwie Siostry.

Z filmami trochę gorzej, bo jakoś nikt nam nie posyła, a tu kupować – to za drogo. Zresztą z robieniem też trudno, bo to jednak wymaga czasu. Powoli jednak coś się postaram posłać, choćby z wizytacji nowego biskupa. Te z baobabu to z takim razie dopiero przy powrocie pierwszego misjonarza na urlop. Tak, bo O. Kasjan na razie do kraju nie wróci. Otrzymał bowiem od N. O. Generała pozwolenie na próbowanie specjalnego apostołstwa w Belgii. Obecnie czeka na przyzwolenie N. O. Prowincjała, co jak się spodziewam, wnet otrzyma.

To na razie tyle wieści. Łączę taki nijaki list do Przyjaciół, może się przyda.

Życzenia w nim zawarte kieruję także do Drogiego Ojca i wszystkich Ojców, Braci i Sióstr naszej św. Prowincji. Niestety, ale nie będzie czasu pisać do wszystkich osobno, choć serce by chciało...

Na nowy list będę bardzo czekał. Można też „plotki” z Prowincji przesłać, bo tak już jest, że każdy pisze, iż na pewno już inni napisali, „więc ja nie piszę” i w rezultacie mało wiemy.

Na wzajemną pamięć w modlitwie bardzo liczę.

Opłatka jeszcze nie mamy, ale dzielę się nim w duchu...

szczerze oddany i wdzięczny

br. Teofil k. b.

Mpinga, grudzień 1973 r.

+ Drodzy Przyjaciele!

Poza normalną pracą parafialną czeka nas jeszcze 10 dni wyętej pracy, postanowiliśmy bowiem „oblecieć” nasze stacje misyjne, by przez Słowo Boże, przez spowiedź i Mszę św. przygotować naszych parafian na Boże Narodzenie. Dziesięć dni pracy i już Święta. Trzecie Święta Bożego Narodzenia w „ciepłych krajach”. Te trzecie nie będą już w rozproszeniu. Mam nadzieję, że w Wigilijny Wieczór zbierzemy się wszyscy w Mpindze, by przy wigilijnym stole, w atmosferze rodzinnej, w łączności z naszymi Bliskimi rozsianymi po całym świecie, podzielić opłatek- chleb, znak jedności i braterstwa w Panu.

Nie zapomnimy wtedy, że przez cały rok dzieliliście z nami chleb miłości przez Waszą modlitwę, przez ofiarowane cierpienia i trudy, przez dobre słowa Waszych listów, przez przesłane ofiary i dary. To wszystko - to Wasz wielki wkład w naszą pracę. To właśnie pozwala nam dzielić chleb, podtrzymywać życie, wchodzić w tajemnicę Jego przyjścia: „Ja przyszedłem, aby życie miały i obficie miały”. Prawda, że to przyjdzie przede wszystkim po to, aby życie wieczne miały, ale przecież każdy czyn miłości wprowadza w Miłość: „Kto trwa w miłości, w Bogu trwa, a Bóg w nim”; każdy czyn miłości wprowadza też w życie wieczne: „Byłem głodny... nakarmiliście mnie..., wejdźcie do Królestwa”.

Dlatego też wielka nasza radość i wielka wdzięczność za to, że dzięki Waszej pomocy możemy dzielić chleb tu, gdzie to dzielenie jest szczególnie przyjmowane, gdzie to ma szczególne znaczenie.

Jest zwyczaj w Burundi, że przychodząc do kogoś, prosi się o jedzenie: „Zostało u Was coś do zjedzenia?” Domownicy odpowiadają: „Niestety, oddaliśmy już innym”. Na to gość: „Skoro było dla innych, to z pewnością znajdzie się i dla mnie”. „Proszę wejść, znajdzie się choćby resztką” – zaprasza gospodarz. To zwyczaj, który mówi: ‘Ty możesz podtrzymać moje życie, wiem, że to zrobisz, choćbyś miał oddać ostatnią kruszynę, która jeszcze została w twoim domu, jesteś człowiekiem dobrym, dlatego z zaufaniem wchodzę do twojej zagrody”.

Ten zwyczaj kryje jednak często konkretną prawdę: człowiek jest głodny. Spotkana kiedyś pod kościołem dziewczyna, tutejszym zwyczajem zagadnęła o jedzenie. „Proszę wejść, chyba pozostały jeszcze jakieś resztki” – odpowiadamy. Na to ona: „Resztki?! Dla mnie resztki nie starczą, bo ja chciałam się najeść, żeby mój brzuch sięgnął aż do kościoła”. Staliśmy jakieś 15 m od kościoła. Uśmialiśmy się wspólnie z nią z tego zobrazowania jakże częstego tu pragnienia: najeść się, wreszcie najeść się do syta! Była godzina 17.00, wracała po całodziennej pracy w polu położonym o kilka, a może nawet kilkanaście kilometrów drogi. Z pewnością jeszcze dzisiaj nie jadła, przecież tu jada się tylko wieczorem. Człowiek zatem jest głodny, głodny jest starzec i głodne jest dziecko.

Jesteśmy w Musongati. Po uroczystej sumie urządzono *ibikino*, czyli występy na cześć biskupa. Składają się na nie pieśni, przemówienia i czasem jakieś „przedstawienie”.

Właśnie dzieci obrazują w skeczu, że wykradanie jedzenia (główny „grzech” tutejszych dzieci) jest brzydką wadą, że zawsze zostanie wykryte i ukarane. Postawiono na ziemi miskę gotowanego grochu. „Podczas nieobecności rodziców lub wykorzystując ich nieuwagę, dzieci podkradają jedzenie przygotowane dla całej rodziny”. Kiedy malec około 3 lat zobaczył, że dwoje dzieci zjada groch, zsunął się z kolan matki, podszedł do miski, usiadł i zabrał się do jedzenia. Było w tym dużo dziecięcej prostoty, było to wielkim symbolem. Nikt

tego nie wyreżyserował, to dziecko powiedziało jednak wiele: popatrz Biskupie, popatrzcie wszyscy, tutejsze dziecko jest głodne, jedzenie przyciąga jak magnes, przyciąga bardziej niż kolana matki, jakże zatem może się oprzeć pokusie i nie podkraść jedzenia?!

Człowiek tutejszy jest głodny. Dlatego też w każdym dzieleniu jedzenia uobecnia się Chrystus, który „wziął chleb, łamał, rozdawał... mówiąc: bierzcie i jedzcie z niego wszyscy”. Następnie dodał: „To samo czyńcie, pamiętając o Mnie!”. Spełnienie tej prośby – dzielenie i rozdawanie chleba – staje się swoistą Mszą św., w której człowiek spełnia Chrystusowe misterium.

W tę tajemnicę, w to misterium wchodzić możemy dzięki Waszej, Drodzy Przyjaciele, pomocy i za to przy wigilijnym dzieleniu się chlebem pragniemy Wam z całego serca podziękować w imieniu głodnych dzieci; stoimy przecież w obliczu Dziecka z Betlejem – z Domu Chleba...

Życzeń nie myślę wypisywać, bo pisząc do tak wielu, musiałbym zapełnić wiele stron, każdy przecież człowiek ma swoje własne zapotrzebowanie na łaski, na dary Boże. Na szczęście te niedostatki każdego serca, te zawsze niezaspokojone głębie, zna dobrze Bóg. Dlatego też Sam przychodzi, by wejść w naszą nędzę, by przyjąć nasze niedostatki, nasze niepokoje... przychodzi, by napęlić nas pokojem: „Pokój Mój wam daję...”, - radością: „aby radość wasza była pełna...” – jednością: „aby byli jedno...” – uświęceniem: „aby byli uświęceni w prawdzie...”

Dlatego o to jedno będziemy wspólnie prosić dla wszystkich: aby znalazł serca Wasze łaknące, przygotowane na swoje przyjście, aby wszedł w nie z całą Bożą pełnią, która jedna jedynie może napęlić serce człowieka na miarę wszystkich jego niedostatków i na miarę jego łaknień...

Wiem, w blaskach Słowa, które stało się Ciałem, ludzkie słowa są bardzo blade, dlatego zamilknę. Dodam tylko, iż ufamy, że spotkamy się z Wami w modlitwie u stóp Żłóbka.

Módlcie się gorąco za nas, by Księżę Pokoju przyszedł na nowo do naszego kraju, który wciąż jeszcze pełen niepokoju, w którym wciąż jeszcze powtarzają się „ucieczki do Egiptu”, gdyż ludzie nie widzą przyszłości dla siebie i swoich dzieci w granicach naszego nieszczęsnego kraju. My trwamy nadal, bo jeżeli kiedy, to teraz potrzebują tu ludzie pomocy, pokrzepienia, nadziei na lepsze jutro, potrzebują posługi kapłańskiej, posługi miłości.

To prawda, że w jaśniejszej atmosferze byłoby łatwiej pracować, ale jak ktoś powiedział: „trzeba kwitnąć tam, gdzie Bóg nas raczył posadzić...”.

To prawda, kwitniemy zdrowo, dobrym humorem i usiłujemy kwitnąć miłością. To ostatnie nie zawsze jeszcze wychodzi, ale przecież jedną z ważniejszych cnót misjonarza jest cierpliwość i niesłabnąca nadzieja...

Ale dosyć. Miałem przecież zamilknąć, tym bardziej, że nie mam czasu na gawędę. Trzeba jeszcze pojechać do stolicy dla załatwienia wielu spraw, dla powitania Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które – radość nasza! – nareszcie przyjeżdżają i potem te 10 dni pracy nad przygotowaniem dróg Panu!

Porozmawiamy zatem po Świętach.

Łączę wiele serdeczności i wdzięczności w imieniu całej wspólnoty Karmelitów Bosych z Burundi.

O. Teofil Stanisław Kapusta

Mpinga 3 kwietnia 1974

+ Drodzy Przyjaciele!

Wczoraj wróciłem z naszych stacji misyjnych po wygłoszeniu ostatniej w tym roku serii rekolekcji wielkopostnych i zaraz siadam, by bardzo serdecznie podziękować za wszystkie Wasze listy zapewniające o pamięci w modlitwie, w cierpieniu i w trudach codziennej pracy. Stokrotnie za wszystko Bóg zapłać! Obiecałem sobie, że zaraz po Bożym Narodzeniu porozmawiam z Wami, że podzielę się radościami i troskami, ale misjonarz musi poskromić pragnienia serca, także te szlachetne, by zajmować się sprawą, dla której posłał go Pan w daleki busz. Choć więc była radość wielka z przyjazdu s. Zygmunty i s. Julianny, Karmelitanek Dzieciątka Jezus, choć radowaliśmy się faktem, że 6 stycznia nasz bp Joachim Ruhuna otworzył nową parafię pod wezwaniem Królowej Apostołów w Musongati, gdzie pracują o. Jan Kanty, o. Kamil i br. Marcelli, choć inne były radości, a także i troski, to jednak musiałem milczeć.

Zaraz po Bożym Narodzeniu podzieliliśmy sobie pracę na Wielki Post, w którym głosi się u nas rekolekcje we wszystkich stacjach misyjnych. Obejmują one poszczególne grupy, a więc dzieci szkolne i dzieci uczęszczające na katechizację, młodzież, niewiasty i mężczyzn. Wiadomo, że niełatwo głosić wielkie prawdy Boże nawet w ojczystym języku, cóż dopiero w obcym? Na każdej też stacji spotykamy odmienne problemy, a więc odmienne zapotrzebowanie na Słowo Boże. Rekolekcje wymagały zatem przygotowania wielu różnych konferencji, aby nie zmarnować okresu łaski, zwłaszcza w tym Świętym Roku. Trochę też czasu zabrało mi przygotowanie specjalnej rekolekcyjnej Drogi Krzyżowej. Trzeba tu i o tym pomyśleć, bo jeszcze u nas brakuje tekstów religijnych. Wypadło także załatwić wiele bieżących spraw w stolicy. Było trochę podróżowania, było przygotowanie rekolekcji, a potem już rekolekcje i jeszcze raz rekolekcje, w czasie których nie można pisać listów, trzeba bowiem być dla ludu. Stąd moje długie milczenie.

Wiem, że mimo naszego milczenia nie osłabły w miłości serca naszych wypróbowanych Przyjaciół. Świadczy o tym stos listów, które poczta przynosi, świadczą paczki, paczuszki i przesłane książki. Bóg zapłać za każdą ofiarę, za te do nas wprost przesłane jak i te składane w Polsce na ręce naszego sekretarza misji karmelitańskich. Nie macie pojęcia, jak wdzięcznym przyjmujemy je sercem. Tak bardzo bym chciał, byście mogli zobaczyć radość biedaków, obdarowanych dzięki Waszej hojności. W okresie Bożego Narodzenia rozdaliśmy wiele odzieży. Dzień w dzień już od rana nasz plac przykościelny zalegało mrowie starców, kalek, trędowatych, sierot. Wnet wszystka zebrana odzież została rozdana. Było jej sporo, ale przecież to kropla w morzu obecnych potrzeb; i tak wielu pozostało nagich.

Wiem, wiem, czasem możecie sobie pomyśleć, że przesadzamy, pisząc o nędzy naszych ludzi, że to już taki styl listów misjonarzy. Jedno trzeba zauważyć: kiedy misjonarz (nawet z naszej biednej Polski) przyjedzie do tzw. krajów Trzeciego Świata, to właśnie nędza uderza go przede wszystkim. Trudno, żeby o tym nie pisał. Potem trochę się już przyzwyczajamy.

Zważcie jednak, że ten list jest pisany z jednego z trzech najbiedniejszych krajów świata, gdzie trudno się przyzwyczaić. Nie wierzycie? Proszę zatem przeglądnąć statystyki, choćby te z „L'Osservatore Romano”. Właśnie 25 stycznia br. podano, że wśród krajów nędzy trzy są najbiedniejsze: Górna Wolta, Rwanda i Burundi. Z tych trzech - najbiedniejszym krajem jest Burundi.

Może od czasu obliczeń tej statystyki zmieniło się na gorsze w innych krajach, na pewno jednak nie prześcignęły w ubóstwie Burundi, bo i u nas wiele zmieniło się na gorsze, bo wciąż jeszcze niespokojna atmosfera paraliżuje życie gospodarcze kraju, bo wciąż jeszcze słysząc płacz wdów i sierot.

P. Andrzej Grzegorzczak w nr 5/74 „Tygodnika Powszechnego” przypomina, że w „krajach najbardziej potrzebujących pomocy:

300 milionów dzieci w wieku przedszkolnym głoduje,

400 milionów dzieci w wieku szkolnym nie uczy się,

11 milionów dzieci jest dotkniętych trędem,

15 milionów dzieci cierpi na gruźlicę,

400 milionów dzieci cierpi na jaglicę...

... co dzień umiera na skutek głodu ok. 100 000 ludzi, a wśród nich najwięcej dzieci...”

Chociaż A. Grzegorzczak stawia pytanie: „Czy możliwy jest prawdziwy spokój sumienia poza jakimś nadludzkim wysiłkiem, szalonym poświęceniem, zatraceniem się w poświęceniu dla ratowania całej ludzkości”, to przecież tak trudno się „zatracić w poświęceniu”, bo trudno uzmysłwić sobie, co naprawdę mówią te liczby, te drukowane cyfry, dopóki się nie stoi dzień w dzień wśród umierających z głodu, zabijanych gruźlicą, zżeranych trędem, ginących z nędzy w najuboższej prowincji najbiedniejszego w świecie kraju. Przecież obok trędowatych dzieci, obok dzieci umierających na gruźlicę, widzimy serca matek, pełne głębokiego smutku oczy matek, które nie mają czym podtrzymać umierającego dziecka. Gdy się to widzi na własne oczy, to chciałoby się koniecznie coś zrobić. Kiedy widzi się swoją bezsilność, to przestaje się człowiek wstydzić wyciągnięcia ręki o pomoc. Na szczęście ta nasza zebrana znajduje oddźwięk w Waszych dobrych sercach i jakoś jest, choć przyznaję szczerze, że tak po ludzku, to niepokój ogarnia moje serce, zwłaszcza kiedy patrzę na rachunki, które mi po pierwszym trymestrze bieżącego roku przysłano. Wskazują 563.000 długu, a umierających wcale nie ubyło, a zaplanowana budowa nawet do połowy nie doprowadzona. To prawda, że zakupiliśmy już dużo materiałów budowlanych, że jeszcze nie ruszyłem pieniędzy przeznaczonych na nasz ośrodek zdrowia (wciąż jeszcze za mało na rozpoczęcie), to prawda, że ufam Opatrzności, ale czasem to trzeba trochę pokręcić głową i uśmiechać się do rachunków. W następnym trymestrze będziemy spłacali długi; ufam, że Opatrzność posłuży się Wami. Cóż, taka rzeczywistość..., a tymczasem - tak by się chciało przystąpić do budowy choćby bardzo skromnego ośrodka zdrowia, bo s. Zygmunta i s. Julianna wnet skończą kurs języka kirundi i będą mogły przystąpić do pracy. Tylko gdzie? Wiem, że potrafią wiele dobrego zrobić także bez przychodni, bo przecież opatrywać rany, rwać zęby, rozdawać lekarstwa można także po prostu pod drzwiami. Już pokazały, że to potrafią. Z jaką radością patrzę na zdrowie dzieci, które bez ich pomocy byłyby już dawno w grobie. Myślę, że rozumiecie, iż chciałoby się, aby i u nas były skromne, ale ludzkie warunki pomocy chorym.

Pisze A. Grzegorzczak, że „w krajach Trzeciego Świata pomoc lekarską otrzymuje tylko co 4 dziecko”. Tak to wygląda w statystyce, w rzeczywistości u nas nawet co 50 dziecko nie otrzymuje tej pomocy. Jakże bowiem nasze matki z Mpingi, oddalonej o przeszło 200 km od stolicy dostaną się do szpitala? Nie ma u nas autobusów ani pociągów. Choćby nawet je zawieźć, cóż to pomoże? Ile razy jestem w stolicy, widzę szpital obleżony przez tłumy. Czasem 2 - 3 dni trzeba czekać, aby się dostać do lekarza, który nie ma czasu na pobieżne nawet zbadanie i często nie ma lekarstw. Jeżeli nawet ma, albo jeżeli można je kupić za drogie pieniądze w aptece, to przecież matka z buszu nie kupi, bo za co? Oblicza się, że u nas na obywatela wypada rocznie 3.300 franków (wartość naszego złotego). Ale to teoretycznie, w praktyce kobieta z buszu nie widzi nawet 500 franków na rok. Jeżeli je zdobędzie, to musi kupić motykę, która kosztuje obecnie ponad 300 fr. Nawet dosyć solidna motyka. Motyka jest jedynym narzędziem uprawy roli, ona służy przy budowie, przy naprawie dróg. Na naszych kamienistych górskich polach zdziera się szybko. Po roku trzeba kupować nową, trzeba więc ciuć grosz do grosza. Jeżeli zdobędzie coś grosza, to kobieta musi kupić choćby odrobinę mydła, bo inaczej ją i dzieci zjadłyby takie stworzonka jak wszy.

Tak więc, gdy przyjdzie choroba, to albo natura się obroni (co bardzo utrudnia brud), albo po prostu się umiera.

Wprawdzie według oficjalnych danych rozsiano po kraju maleńkie przychodnie zdrowia, czasem i szpitalem się to nazywa, brak jednak personelu, brak lekarstw, a naszym ludziom brak 10 czy 20 fr. na opłacenie wizyty i brak grosza na lekarstwa.

Taka jest rzeczywistość, na którą patrzy się codziennie. Dobrze, że można spojrzeć na nią w promieniach Mistycznego Ciała. To Chrystus ciągle cierpi i umiera w swoich członkach. Jak tamta Męka i Śmierć musiały mieć sens, tak, i ta..., ale właśnie dlatego nie można patrzeć obojętnie.

Ale już dosyć już tego biadolenia, bez którego i tak dobrze naszą sytuację rozumiecie, za co Wam szczerze jesteśmy wdzięczni.

Co do nas, to Bogu dzięki, czujemy się zdrowo i pracy mamy pełne ręce. Ponieważ niektórzy zapytują jaki w końcu do nas adres, więc powtarzam: O. Sylwan Zieliński, O. Klaudiusz Spyrka, O. Eliaz Trybała, br. Sylwester Szypowski i ja: B. P. 67 – R u y i g i, Mpinga, BURUNDI, Afrique.

Natomiast: O. Jan Kanty Stasiński, O. Kamil Ratajczak i br. Marcei Szłósarczyk – B. P. 67 – R u y i g i, Musongati, BURUNDI, Afrique. Wszystkie więc stare adresy spalcie.

Z innych wieści, to należy podzielić się radością, że o. Sylwan nareszcie w styczniu odzyskał swój paszport, może zatem spokojnie proboszczować w Mpindze. Czy spokojnie?

Prawda, jest i trochę niepokoju, bo jeszcze tu i tam wrze, jako że to „gorące kraje”, choć dzisiaj pada deszcz i jest zimno. Nasza dolna część parafii położona nad granicą Tanzanii ciągle jeszcze pełna obaw i lęków. Wciąż jednak jest nadzieja, że tak zawsze nie będzie.

Następna nasza radość, to przyjazd s. Zenobii i s. Bogumiły, które zawitały do nas 16 marca. Patrzą na razie szeroko otwartymi oczyma na naszą czarną ziemię i nadziwić się nie mogą, że to tak jeszcze jest na świecie. Wtedy przypominają się nam nasze pierwsze chwile na Czarnym Łądzie.

Na tym kończę, Kochani, bo jeszcze przed Świątami sporo pracy czeka w samej Mpindze. Mam nadzieję, że na następny list nie każę Wam tak długo czekać. A potem..., a

potem..., to się może nawet zobaczymy i to chyba nawet w tym roku. Chce nasz biskup po Synodzie Biskupów odwiedzić Polskę. Pragnie, aby jeden z nas mu towarzyszył. Współbracia wytypowali mnie. Jeżeli się do tego czasu nic nie zmieni, to się zobaczymy i wtedy nareszcie odpowiem Wam na Wasze liczne pytania, bo widzę, że choć dużo zapisałem papieru, to przecież nic nie napisałem.

O naszej pamięci we wzajemnej modlitwie chyba nie potrzebuję zapewniać. Myślę, że to wyczuwacie sercem. Zwłaszcza teraz, trwamy u stóp Krzyża i trwać będziemy u stóp Zmartwychwstałego, ufając, że i Wy to samo czynicie w naszej i naszych wiernych intencjach.

Z szczerymi uśmiechami i bardzo wielką wdzięcznością,

Wasz w Panu

Br. Teofil St. Kapusta OCD

B. P. 67 – R u y i g i

Mpinga

BURUNDI – A f r i q u e

JMJT

Mpinga, 8 kwietnia 1974

+ Przewielebny i Drogi Ojciec!

Milczymy i milczymy, jakby wyschła nasza wdzięczność za tyle troski, pracy i poświęceń dla nas. Tak się niestety składa, że nijak było zasiadać do listów. Zaraz w styczniu podzielono naszą pracę na Wielki Post. Mnie wypadło głosić wiele serii rekolekcji do wszystkich grup, więc musiałem solidnie popracować, by się przygotować. Było też trochę spraw niecierpiących zwłoki, więc podróże do stolicy... a potem już rekolekcje i jeszcze raz rekolekcje.

Po powrocie zaraz zasiadłem nad stosem listów. Drogiemu Ojcu bardzo serdecznie za wszystko dziękuję.

Już pogodziliśmy się z tym, że O. Józef powinien po egzaminach, po święceniach i prymicjach trochę wypocząć, bo przecież czeka go kurs języka i trudna praca. Niechby więc przyjechali gdzieś w listopadzie, by się trochę oswoić z Afryką przed kursem, który by rozpoczęli w styczniu. Mam nadzieję, że my, starszankowie jakoś dotrwamy w zdrowiu do tego czasu. Może się jeszcze ktoś na trzeciego znajdzie. To by nas jakoś urządziło, bo praca jest szalenie dużo, tak, że o naszych 40 tys. pogan niewiele możemy myśleć. Wprawdzie uczy się ich jakie 4 tys. w katechumenacie, ale cóż to jest na tak wielu.

Z rzeczy, które zawsze będą potrzebne to różności przydatne przy budowie, jak klamki, kurki wodociągowe, elektryczne oprawki itp. To wszystko tu bardzo drogie, więc jeżeli się uda coś przemyścić, to by nas urządziło. Oczywiście przy pakowaniu trzeba to odpowiednio rozłożyć, bo oni tu mają takie prawo, że rzeczy przesiedlenia to są rzeczy używane, starsze. Miałem ostatnio trochę trudności z pakami Sióstr. Jakoś się udało załagodzić sprawę. Byłyby też pożądane takie różne różności do mechaniki, jak np. łożyska większe, mniejsze, jakieś narzędzia, różne wkrętki, skrętki, śruby... Czasem coś kombinujemy i wystarczy, że brakuje jakiejś rzeczy, a projekt musi upaść, bo tu wszystko bardzo drogie, a my musimy bardzo oszczędzać, żeby było na budowę. Nie możemy się spodziewać wiele od diecezji, dopiero się organizującej i to w najbiedniejszym terenie

naszego biednego kraju. Sama diecezja ma już długi. Mam już trochę długów, jakieś 550.000, ale na ich pokrycie są jeszcze oszczędności w Munster, więc jakoś będzie. Mamy za to już trochę materiałów budowlanych. Udało się wyprzedzić podwyżkę cen, więc na tym pośpiechu zyskaliśmy wiele.

16 marca zawitały dwie siostry. Radość nasza wielka. Ponieważ te z kursu też zjechały na wakacje (2 tyg.), więc cała czwórka pracuje i modli się z nami. Jeszcze nie wiem, co uchwalą, czy dwie nowe pójdą gdzieś na staż, czy też zostaną na razie z nami? W każdym razie ważne, że już są.

Co do nas, to już wszyscy pokończyli swoje serie rekolekcji. Choć to było męczące, to przecież zdrowo i zadowoleni wrócili z misjonarskiego trudu. Tylko w Musongati musieli jedną stację zostawić na początek maja, bo choć zaczęli przed Wielkim Postem, to nie zmieścili się w czasie.

Pojutrze wybieram się do naszej kurii biskupiej dla omówienia niektórych spraw. Może już wreszcie zaczniemy budowę w Musongati. Wprowadzie już teren wymierzony i nawet okopany, ale jeszcze nie można wydębić papierów, a nie chcemy bez papierów zaczynać. Może i dobrze się stało, że się zakładanie funduszów odciągnęło, bo był czas na przygotowanie bloków, drzwi, okien. Teraz tylko zlepić wszystko gliną. Trochę cementu też będzie trzeba, więc martwię się, bo na razie nie można dostać. Nawet państwowe roboty stoją z powodu braku cementu.

To na razie takie nasze strapienia i radości. Mam nadzieję, że wnet napiszę znowu. A potem może nawet zawitam do kraju, bo nasz Biskup chce po Synodzie odwiedzić naszą Ojczyznę i chce, by ktoś z nas mu towarzyszył. Bracia mnie wyznaczili. Jeżeli więc nic się nie zmieni, to pewnie pod koniec lipca lub sierpnia wpadłbym do kraju. Chyba, że tu będę bardzo potrzebny.

Życzenia wielkanocne złożę u stóp Zmartwychwstałego, bo już nie czas na ich wypisywanie.

Serdeczności bardzo serdeczne łączę dla Drogiego Ojca jak i dla Wszystkich Drogich Ojców i Braci z Wrocławia.

Szczerze wdzięczny i oddany
br. Teofil k. b.

JMJT

Mpinga, 5.05.1974

+ Przewielebny i Drogi Ojcze!

Nie stać mnie na długi list, bo przed jutrzejszą drogą do stolicy jeszcze różne sprawy do załatwienia, ale pragnę skreślić kilka słów, by zapewnić o pamięci i jak zwykle przedstawić prośby.

Przyszła nam mianowicie taka myśl, że w związku z planowanym odwiedzeniem Ojczyzny przez któregoś z nas (na razie mnie to zlecono), byłoby dobrze postarać się o trochę ruchomego filmu. Jak zapewne Czcigodnemu Ojcu wiadomo Przew. O. Leonard zakupił w

Rzymie kamerę i udało się ją przewieźć do Burundi. Nie było jednak absolutnie czasu na bawienie się z robieniem filmów, a po drugie nie było forsy na filmy. Myśleliśmy nawet o sprzedaży tej kamery, ale trudno znaleźć kupca, bo to kosztuje! Tak więc kamera leży. Gdyby więc udało się w Polsce kupić i przesłać nam trochę filmu, to teraz mógłby O. Sylwan zrobić jakieś obrazki z naszego życia i pracy. Są podobno w kraju takie 30-metrowe filmy, więc gdyby tak ze 20 zdobyć i przysłać. Kamera 16-tka. Myślmy o filmach biało-czarnych, 18 din. Kilka mogłoby być czulszych, bardzo czułych, żeby można zrobić zdjęcia w kościele, czy pokazać wnętrza naszych kaplic na stacjach misyjnych.

Oczywiście, to tylko tak – jeżeli można. Uważamy, że to należałoby posłać w małych paczkach lotniczo na imię moje, O. Sylwana, czy Eliasza. Taki choćby półgodzinny film, gdyby się udał, mógłby służyć dobrze.

To taka pokorna i nieśmiała prośba.

A z wieści: Nareszcie posyłam zaproszenie W. O. Janowi i Józefowi, muszą niestety zrobić fotografie, bo tylko po jednym egzemplarzu uzyskałem.

Jeszcze nie mogę podać daty przyjazdu naszego Bp-a do Polski, ale jeżeli to nie wypadnie później niż początek listopada, to myślę, że byłoby dobrze, gdyby on był na ich pożegnaniu. Mam nadzieję, że już w maju będę mógł podać datę.

Nareszcie zaczynamy budowę w Musongati. Jeszcze tylko wyjazd do stolicy i po powrocie zakładanie fundamentów. Mam nadzieję, że to sprawnie pójdzie, bo już drzwi i okna mamy, mamy też „pustaki”, żelazo na więźbę. Brakuje na razie eternitu, ale już jest zapłacony. Mam nadzieję, że fabryka zdąży zanim postawimy ściany.

Obecnie przebudowa w naszym kościele w Mpinga: miejsce dla tabernakulum i ołtarz M. Bożej Częstochowskiej. Zaraz też zaczniemy budowę w Kiharo, bo termyty zjadły nam wiązanie dachowe, więc lada dzień dach na dużej kaplicy może się zapaść. Chcemy tam podwyższyć kaplicę i pokryć eternitem na podkładzie żelaznym. Szalenie to drogie, ale już mamy eternit i żelazo. Mamy nadzieję, że tam powstanie kiedyś parafia, więc będzie „jak znalazł”. Szukajcie tylko ochotników na misję!

To tyle na razie. Normalna praca po Wielkanocy. Wyjeżdżamy na nowo na stacje misyjne, pracujemy w Mpinga. Wnet złączą się egzaminy katechumenów, chrzest św. i tak w koło... Zdarzają się i takie różne różności, jak odwożenie chorych do szpitala. Ostatnio w jednej rodzinie zmarły cztery osoby, inne zaczęły chorować. Tutejsza przychodnia nic nie może poradzić, bo infirmarz stale „na gazie,” a do tego nie ma lekarstw. Wypisał wprawdzie chorej receptę, ale dopisał: „zobaczyć u Ojców, może mają to lekarstwo”. Pewnie, że mieliśmy. Pewien katechista przyprowadził chorą na misję. Jeszcze nie umierała, więc zmierzylem gorączkę, zbadałem puls i dałem trochę lekarstw. Postanowiliśmy jednak odwieźć ją do szpitala. Tam dopiero się przyznała, że byli u „czarownika” i wszyscy zażywali „lekarstwo”, a choć już czworo umarło, to tym bardziej zażywali, żeby nie umrzeć. Ona sama zażyła wczoraj lekarstwa ode mnie i tamte od czarownika. Trzeba było jeszcze inne dzieci z tego domu odwieźć do szpitala. Ciekaw jestem, czy się je udało odratować. Jutro zobaczymy. Taki jeszcze ten świat.

Serdeczności bardzo serdeczne i uśmiechów wiele, szczerze oddany

br. Teofil k. b.

+ Drodzy Przyjaciele!

Jakże szybko płynie czas! Już niemal trzy lata naszego misjonarskiego posługiwania! Przez te lata towarzyszyła nam Wasza wierna pamięć i przyjaźń. Od czasu do czasu rozmawialiśmy z Wami o naszych radościach, o naszych troskach i nadziejach. To tak z potrzeby podzielenia się przeżyciami z przyjacielem. Któż nie odczuwa tej potrzeby? I chociaż słowa są bardzo nieporadne, to przecież „mówi się: trudno” i pisze się dalej z nadzieją, że przyjaciel odczyta je sercem.

Niestety, nie stać mnie na osobne listy do każdego, kreślę zatem te kilka zdań z nadzieją, że za pośrednictwem naszego Sekretariatu w Polsce, dotrą do wielu z Was i przekażą zapewnienie o naszej pamięci w modlitwie, o naszej wdzięczności, oraz przekażą garść wieści.

Co nowego u nas? Dnia 23 maja br. poświęciliśmy w Mpindze nowe tabernakulum w prezbiterium ozdobionym przez br. Sylwestra z pomocą s. Bogumiły. Kamienna mozaika w tutejszym stylu podoba się wszystkim. Obecnie w bocznej nawie kościoła przygotowujemy ołtarz Matki Bożej Częstochowskiej.

Trwają też przygotowania do przebudowy i pokrycia nowym dachem kaplicy w Kiharo. Drewniane belkowanie domu zajęły termyty, więc trzeba je zastąpić nowym, żelaznym. Zamiast dachówki położymy eternit. Poza tym praca parafialna zaplanowana do końca lipca. Czekają nas egzaminy dzieci przed uroczystą Komunią św., egzaminy katechumenów, chrzest i bierzmowanie.

A w Musongati? Dopiero w Uroczystość Zesłania Ducha Świętego ukończono ostatnią serię rekolekcji wielkopostnych na stacji misyjnej, która przeszła do parafii w Musongati z sąsiedniej parafii w Bukirasazi. Stacja ta, oddalona od Bukirasazi, bardzo była zaniedbana, więc w czasie rekolekcji było wiele pracy z uporządkowaniem zaniedbań. Na zakończenie rekolekcji o. Kamil ochrzcił 60 dzieci.

Ale czym Musongati żyje? - to budowa nowej misji. Nareszcie rozpoczęto budowę domu ojców wraz z biurami parafialnymi. Wciąż jeszcze grzebiemy się w fundamentach. Właśnie w ostatnim tygodniu przez trzy dni pracowałem na budowie, chciałem trochę pomóc br. Marcelemu, który kieruje budową.

Nie takie to proste z tutejszymi murarzami, dla których wybudować coś prosto, to wielki problem. Wciąż trzeba mierzyć i wykazywać, że budują krzywo, jak *inzira y'inzoka*, czyli jak ścieżka węża. Śmieją się wtedy i pojąć nie mogą, dlaczego tym misjonarzom tak bardzo zależy na prostej linii?

Kiedy tak biegam wśród rosnących fundamentów, to dziękuję Bogu i wciąż pamiętam, że to możliwe tylko dzięki Waszej pomocy. Cóż tu moglibyśmy zrobić bez tej pomocy!?! Zwłaszcza teraz, kiedy ceny z dnia na dzień idą w górę i kiedy wciąż trzeba pomagać ludziom, znajdującym się w niesamowitej nędzy.

Trudno każdy grosz przeznaczyć na budowę, skoro wokół ludzie umierają z głodu, skoro tyle dzieci zapada na różne choroby wskutek niedożywienia, skoro wszystko, co żyje nosi piętno głodu. A na dodatek trąd! Nasze misje są położone w sercu odległego buszu, gdzie trąd się panoszy i wcale nie jest objęty sanitarną opieką. To prawda, że do kilku naszych stacji misyjnych dojeżdża siostra, by zanotować nowe przypadki trądu, by rozdawać lekarstwa. To już coś, ale jakże jeszcze daleko do jakiegoś rozwiązania problemu! Próbuję zebrać o pomoc, bo oni nawet rąk nie mają, by je wyciągnąć do braci, ale niełatwo pomoc uzyskać. Nie tracę jednak nadziei, a Tym wszystkim, którzy przesłali ofiarę dla naszych trędowatych, bardzo, bardzo serdecznie w ich imieniu dziękuję. Bóg zapłać!

Mimo trudności nie rezygnujemy z myśli o budowie skromnego leprozorium, tym bardziej, że nasza s. Zygmunta jest przygotowana do objęcia opieki także nad trędowatymi.

Skoro już mowa o s. Zygmuncie, to muszę powiedzieć, że spisuje się dzielnie i ma wielkie programy, choć jak słyszę, przesłała do kraju alarmujące apele z prośbą o lekarstwa.

Sprawdza się to, co napisałem w poprzednim liście: kiedy misjonarz przyjedzie do krajów Trzeciego Świata, to bywa przerażony tym, co widzi. Nic więc dziwnego, że pisze alarmujące listy. Musiałaby nie mieć serca, by obojętnie patrzeć na tutejszą rzeczywistość.

Ale, Kochani, problem jest o wiele bardziej złożony, niżby się mogło wydawać. Lekarstwa i opatrunki są bardzo potrzebne, ale w tej chwili nie umiem powiedzieć, czy opłaci się ich przesyłka z Polski, zwłaszcza w większych ilościach? Nie wiem także, jakie uprawnienia uzyska s. Zygmunta do ich odbioru bez cła? To wszystko jeszcze znak zapytania. Małe przesyłki lekarstw w paczkach z używaną odzieżą otrzymaliśmy bez cła. Udało się także uzyskać zwolnienie od cła na lekarstwa przesłane z Anglii przez aptekę p. Grabowskiego. Nie było tego wiele, więc nie zwróciło uwagi. Ale jak będzie z większą ilością? Na razie nie wiem. Wiem jednak, że nawet wielka ilość lekarstw nie rozwiąże problemu. Cóż bowiem z tego, że podamy lekarstwo np. na robaki, kiedy tutejszy człowiek popije je wodą, w której aż roi się od różnych pasożytów? A popije, bo nie wie, skąd te robaki się biorą. Wiadomo też, że wiele z tutejszych chorób wynika z wadliwego odżywiania się, z braku białka czy witamin. Niestety, matki wcale nie wiedzą, że nie wystarczy byle czym zaspokoić głód dziecka, że potrzebne jest urozmaicenie w jadłospisie. To urozmaicenie byłoby możliwe, ale kto ich przekona o konieczności uprawy jarzyn? Oni uprawiają maniok, groch, kukurydzę i trochę bananów.

Wydaje się więc, że na pierwszym miejscu trzeba postawić zorganizowanie takiego ośrodka zdrowia, w którym wraz z leczeniem, można by uczyć tutejszych ludzi, jak pielęgnować dzieci, jak je racjonalnie odżywiać, jak chronić zdrowie. Może takie doksztalcenie mogłaby prowadzić szkoła, ale u nas znikomy procent dzieci uczęszcza do szkoły. Któż zresztą w szkole mógłby prowadzić takie doksztalcenie? Coś takiego istnieje w programie zwłaszcza tzw. *foyer social*, ale kiedy nasze ognisko socjalne, prowadzone przez czarne siostry, wyhodowało rzodkiewkę, to ją przyniesiono w darze misjonarzom, bo „jak się to je”?

Myślą więc o takim doksztalceniu misjonarze, ale zorganizowanie doksztalcenia prócz personelu wymaga trochę grosza i bardzo dużo cierpliwości! Tak, cierpliwości! Łatwo bowiem stracić cierpliwość.

Przychodzi np. na misję dziewczyna przerażona, że musi umrzeć, tak jak zmarły już cztery osoby w jej domu. Czuje szum w głowie i gorączkę. Mierzę więc gorączkę i wypytyję,

jak to było z tą śmiercią jej rodziców i rodzeństwa? Czuli się właśnie tak, jak ona, w końcu następował krwotok z nosa i ust – i tak umierali. Ale dlaczego? – Ona nie wie! Dałem lekarstwo na obniżenie ciśnienia i gorączki. Rano odwieźliśmy ją do szpitala w Rutanie. Może siostry coś poradzą? Dopiero w szpitalu przyznała się, że byli u *umupfumu*, czyli „czarownika” albo znachora, który dał im lekarstwo. Niestety, mimo lekarstwa umarli. Okazuje się, że właśnie wskutek tego lekarstwa umierali. Dziewczyna ta jeszcze wieczorem, wraz z lekarstwami ode mnie, zażyła te od czarownika. Dopiero w szpitalu przyznała się, że dała też reszcie rodzeństwa. Odwieźliśmy więc resztę do szpitala. Udało się ich odratować, ale czy to nauczy ich rozumu? Czy inni nie pójda do *umupfumu*?

Kiedyś znowu przychodzi ojciec z małą dziewczynką, która bardzo poważnie zachorowała na oczy. Już prawie nie widzi. Jest obawa, że nawet całkowicie straci wzrok. Właśnie nazajutrz wybieraliśmy się do stolicy. Postanowiliśmy zabrać dziecko i ojca. Trzeba oczywiście opłacić okulistę, bo ojciec powiada, że nie ma grosza. Niech więc stanie na jakiś czas budowa, byle tylko nie patrzeć na ociemniałego człowieka. Ale ... rano przychodzi ojciec i powiada, że nie pojedą, bo „ona nie chce jechać”. Tacy oni jeszcze są. Trudno w takim wypadku o cierpliwość. Trudno o cierpliwość w wielu innych wypadkach.

Trzeba ją jednak zachować. Jesteśmy tu przecież przedstawicielami białej rasy i nie chcemy, by mówili, że biali tylko złościć się potrafią. Jesteśmy przedstawicielami Polaków i nie chcemy, by byli przekonani, że Polacy to ludzie nerwowi. A przede wszystkim jesteśmy tu przedstawicielami Kościoła, zwiastunami Dobrej Nowiny o miłującym Ojcu. Módlcie się zatem o wiele cierpliwości dla nas.

Ale już nie pamiętam od czego zacząłem? Aha, mówiłem o konieczności doksztalcenia przy solidnie zorganizowanym ośrodku zdrowia. To chyba jeszcze dosyć daleka przyszłość, ale przecież ufamy Opatrzności i Waszej życzliwej przyjaźni.

Jakże wiele by trzeba zorganizować w naszym buszu! Trzeba by dać naszym ludziom choć trochę pracy, bo obecnie nie mogą iść na zarobek do Tanzanii. Po powrocie posądzono by ich, że szukali porozumienia z emigrantami sprzed dwóch lat. Jakąż jednak pracę możemy im dać? Od czasu do czasu można kilku zatrudnić przy budowie. Kilku robi deski. Zaczyna się także rozwijać w Mpindze „fabryka” różańców. Na razie taka bez komina, ale już zatrudnia 10 osób. Jeżeli znajdziemy dobrodziejów, którzy przyślą trochę drutu na różańce, to będzie można fabrykę rozbudować, bo ziarenka rosna w naszym buszu, bo rąk do pracy bez liku i otwierają się rynki zbytu. Tylko ten drut! W całym kraju nie dostaniesz kawałka drutu! To takie nasze problemy i troski.

A Wy, Kochani, prawie przede wszystkim interesujecie się, jak wygląda nasza praca apostołska, ile nawróceń, ile chrztów na miesiąc?

Owszem, owszem, nasze katechumenaty działają. Wciąż by należało powiększać liczbę lekcji, bo wielu pogan czeka na naukę. Ale znów – skąd wziąć grosz na opłacenie katechistów? Wciąż także brak kapłanów. Wielu misjonarzy sterło już siły w trudnej pracy. Nowych nie przybywa. Tubylczego kleru bardzo mało. W wielu parafiach księża nie potrafią obsłużyć licznych wiernych. Trudno w takiej sytuacji zająć się na całego poganami. W wielu rodzinach poganie żyją wspólnie z chrześcijanami.

Bywa i tak, że córka wstępuje do zakonu, a jej matka i bracia jeszcze nie ochrzczeni. Bywa tak, że jedna osoba z rodziny ochrzczona. Jeżeli to młody chłopiec czy dziewczyna, to

potrzeba im wiele bohaterstwa, żeby wytrwali w religijnych praktykach, żeby nie dać się skusić do praktyk pogańskich, które nieraz bywają bardzo żywe.

Pracy zatem dużo, bardzo, bardzo dużo i bardzo czekamy na o. Jana i o. Józefa, którzy – jak ufamy – za kilka miesięcy staną z nami do pracy. Oby znaleźli się także inni! Nie piszę, ile jeszcze potrzeba Sióstr Karmelitanek, bo sądzę, że nasze misjonarki same o tym napisały. Żniwo wielkie, robotników mało... Proście tedy Pana żniwa, by posłał robotników...

Żegnajcie w Panu! Chyba jeszcze napiszę przed planowaną w jesieni podróżą do kraju. Na razie łączę wiele uśmiechów wraz z szumem naszego lasu i ukłonami palm!

Wasz ojciec misjonarz

O. Teofil Kapusta
B. P. 67 – Ruyigi
Mpinga
BURUNDI – Afrigue

Ps. Na wszystkich paczkach i paczuszkach, za które bardzo dziękujemy, prosimy obok adresu dopisać: „Don de charite pour les pauvres” czyli „dar miłości dla ubogich”. Taki napis pozwala nam łatwiej otrzymać przesyłkę bez formalności celnych.

Bóg zapłać!

Mpinga, 12 lipca 1974r.

+ Drodzy Przyjaciele!

Znów stos listów, wzruszających listów!

Zapewniacie o pamięci, o modlitwie, o ofiarowanych za nas cierpieniach i trudach. Chcecie pomagać.

Wzruszające listy młodzieży, która chce znać prawdę o przygodzie misjonarza, znać całą prawdę.

Wzruszające listy dzieci, które chcą wiedzieć wszystko o życiu i pracy misjonarza.

Nie tylko zresztą młodzież i dzieci, wszyscy chcecie wiedzieć, „jak to tam jest?” – dlatego prosicie o odpowiedź, „aby mi misjonarz odpisywał zawsze na listy!”

Niestety, Kochani, to nie takie proste! Odpisywać „zawsze” na listy, odpowiedzieć na wszystkie pytania, opisać kraj, ludzi, obyczaje, warunki życia, choroby, trąd, opisać pracę i przygody misjonarza. To nie takie proste przekazać prawdę i to całą prawdę o misyjnej przygodzie. W naszym zagonieniu trudno to zrobić w wielu listach, dlatego kreślę ten wspólny list, by choć dobrą wolę okazać, by choć w ten sposób podziękować za to, że jesteście z nami!

Jak już komuś napisałem: prawda o misjonarzu jest bardzo różna, jak różne są zakątki świata, w których misjonarze pracują. Wiem, chcecie znać prawdę o nas, o misjonarzach

pracujących w Burundi. Ale i tu prawda jest różna, bo inaczej wygląda praca i życie w naszej stolicy, a inaczej u nas w buszu.

Dla wielu - widać to z listów – misjonarz jawi się jako człowiek święty, dzień i noc nauczający ludzi, utrudzony, wędrujący od wioski do wioski, wędrujący pieszo, czasem na koniu, czasem łódką, a czasem nawet samochodem. Pali go słońce, polewa tropikalny deszcz, spala pragnienie i głód, dokuczają mu pchły piaskowe, a w buszu napadają dzikie zwierzęta i węże. Najgorsze to, że wszędzie można „złapać” zaraźliwą chorobę, zwłaszcza trąd. Na dodatek, ten misjonarz mieszka w lepiankach z gliny, karmi się maniokiem, czasem kokosowymi orzechami lub bananami, które popija wodą ze skórzanych worków, wodą z trudem zdobytą i przyniesioną z daleka. Misjonarz także bywa często osamotniony, zagubiony w pustyni lub puszczy, gdzie dzikie ludy „ostrzą noże na progu jego chatki i już rozpalają ognisko, by go upiec i zjeść”... Jeżeli się jakoś uratuje, to całymi miesiącami czeka na listy od swoich najbliższych i tęskni za rodzinnym krajem...

I czegoż to jeszcze nie wymyśliła wyobraźnia!...

To prawda, coś z tego wszystkiego zdarzyło się przez wieki w życiu misjonarzy, ale przecież na co dzień, nawet w naszym buszu, jest bardzo zwyczajnie.

Misjonarz to człowiek, po prostu człowiek. Czasem już prawie święty, ale bardzo często to człowiek pełen wad i ludzkich słabości. Jak każdy chrześcijanin, musi się wspinać na górę doskonałości. Czasem udaje mu się to lepiej, czasem gorzej. Trzeba, żeby był świętym, żeby to, co głosi, potwierdzał życiem, ale sam wie, jak mu jeszcze daleko do tego, by zawsze i wszędzie być wiernym łasce, którą otrzymał.

Mówi się, że powołanie misyjne to wielka łaska. To prawda, ale nie zawsze łatwo ją dostrzec. Zawiera się ona w tej cudownej sytuacji, którą określają słowa: „Jako Mnie posłał Ojciec, tak i Ja was posyłam”. – „ Idźcie na cały świat, nauczajcie wszystkie narody”... Każdy chrześcijanin jest posłany, posłany bliżej lub dalej, posłany do drugiego człowieka, każdy jest świadkiem! Ale to prawda, że jakoś szczególnie jest „posłany” misjonarz. Posłany przez Pana, posłany przez Kościół do ludzi, którzy jeszcze nie znają Chrystusa, albo znają Go bardzo mało. Właśnie to posłanie sprawia, że misjonarz przeżywa „wielką przygodę”. Nie polega ona na tym, że misjonarz wędruje poprzez różne kraje, przebiega piaszczyste pustynie, odpoczywa pod niebotycznymi palmami, przedziera się przez puszcze i busz, gdzie spotkać można węże i dzikie zwierzęta... to też bywa przygoda! Ale ta prawdziwa, najgłębsza przygoda misjonarza polega na tym, że jest posłany przez Pana, że idzie i działa z tą świadomością, że jest z nim Pan, który zapewnił: „Ja jestem z wami po wszystkie dni...”. To Pan jest z nim, Pan działa przez niego. To pozwala misjonarzowi przeżywać najwspanialszą przygodę, jaką może przeżywać człowiek na ziemi... - przyjaźń z Chrystusem – miłość – to jakieś szczególne włączenie w Miłość, która pragnie dobra, szczęścia, zbawienia każdego człowieka. A człowiek ten bywa zagubiony, utrapiony nędzą, wyzyskiwany, uciśniony, bardzo często zżerany chorobami, umierający z głodu... A człowiek ten bywa spragniony pouczenia, spragniony sakramentów, pociechy – zawsze spragniony miłości!

Dlatego też misjonarze mogą powtarzać za wielkim Apostołem Narodów: „Miłość przynagła nas!” – Jakże nie ma przynaglać? Przecież wiara każe dostrzegać w człowieku Pana, który jest „głodny, spragniony, nagi, chory, więziony, strapiony”... Tu gdzieś zaczyna się przygoda misjonarza: przynaglenie miłości, które sprawia, że misjonarz „musi” zapomnieć o sobie, o własnych wygodach, o przyjemnościach i „musi” wyjść ze skorupy egoizmu i

służyć w miłości człowiekowi. A wychodzić ze skorupy – to właśnie jest rozwój. To ciągle przynaglenie miłości jest łaską rozwoju w miłości. Jest łaską, bo „o tyle ludźmi jesteśmy, ile w nas jest miłości”, co więcej: „Kto trwa w miłości, w Bogu trwa, a Bóg w nim!”

Czy każdy misjonarz to przeżywa? Czy zawsze przeżywa? – Wiele tu zależy od łaski, od szerokości i głębi serca... Czasem w ludzkim umęczeniu i misjonarz „ma dosyć wszystkiego”, czasem ta łaska się gubi, ale ona jest, ona powraca, bo wciąż „miłość przynagła nas”... Zapewne to sprawia, że w listach misjonarzy tak mało opisów przyrody, opisów krajów, przez które wędruje, bo przecież najważniejszy jest człowiek. To coś z tego, co było w listach Pawła Apostoła. Przewędrował wiele krajów, ale niemal nie widział przyrody, a przynajmniej jej nie opisywał. Przeczytajcie jego wszystkie listy, nie znajdziecie przyrody, znajdziecie natomiast człowieka w blaskach planów Bożej miłości...

Ale dosyć tego „filozofowania”, przecież i tak ludzkie słowa nie odsłonią tajemnicy misjonarza, którego tak barwnie maluje wyobraźnia.

Dla wielu misjonarz – to człowiek „utrudzony, dzień i noc zajęty nauczaniem”... po to został posłany, aby ludziom przekazać prawdę o Bogu. Jeżeli jest utrudzony nauczaniem, to przede wszystkim ze względu na język, który stale pozostaje obcym językiem i dlatego wszystkie kazania, lekcje katechizmu trzeba solidnie przygotować.

Nauczanie odbywa się w szkole i w katechumenacie. Przy misji bywa zazwyczaj 6 klas dla chłopców i 6 klas dla dziewcząt, oraz kilka grup katechumenów. Na stacjach misyjnych bywa różnie: czasem 4 klasy, czasem 2, a czasem nie ma szkoły wcale. Za to tam bywają liczniejsze grupy katechumenów. Wszystko zależy od gorliwości katechisty. Głównym bowiem nauczycielem religii jest u nas katechista, a w szkole nauczyciel lub nauczycielka. Misjonarz stara się przynajmniej raz w tygodniu przeprowadzić lekcję religii w każdej klasie i w każdej grupie katechumenów. Nie zawsze mu się to uda, bo przecież trzeba odwiedzić stacje misyjne, trzeba podjąć inne podróże, trzeba przyjąć licznych wiernych. Na stacjach misyjnych kapłan pojawia się przeważnie raz na miesiąc na jakieś 3 lub 4 dni. Ma wtedy pracy wiele, nie zawsze jest czas na długie lekcje katechizmu, ale trzeba odwiedzić dzieci szkolne i wszystkie grupy katechumenów. Reszta nauczania powierzona jest katechistom. Trzeba stwierdzić, że tutejsze dzieci zachowują się na lekcjach idealnie – spokojne, zasłuchane. Gorzej ze zrozumieniem przekazywanej nauki. Wciąż natrafiamy na słowa, które dla europejskiego dziecka są same przez się zrozumiałe, ale nie dla dzieci z afrykańskiego buszu. To na razie tyle o nauczaniu.

A jak z tymi „wędrownkami od wioski do wioski?” Dawniej to rzeczywiście misjonarz miał czas na takie wędrownki. Miał bowiem zaledwie małe grupki wiernych, mógł zatem odwiedzić ich rodziny, mógł porozmawiać z każdym. Dzisiaj jest trochę inaczej. Poza misją są stacje misyjne, na których mamy nieraz tysiące wiernych, a w każdym razie setki. Misjonarz więc tylko bardzo rzadko wędruje pieszo – na naszym terenie jest tylko jedna stacja, na którą nie można dojechać. Dzisiaj misjonarz posługuje się samochodem, bo do stacji daleko – od 20 do 50 km – a trzeba na stację zajechać wcześniej, aby wypowiadać wiernych, celebrować Mszę św. ze Słowem Bożym, chrzcić, odwiedzić chorych, przeprowadzić lekcje religii i pozałatwiać wszystkie przez miesiąc zbierające się sprawy. Nie zawsze więc starcza czasu na piesze wędrownki po wioskach. W powrotnej drodze od chorego można się z bliska przypatrzeć warunkom, w jakich żyją ludzie. Czasem można wejść do chatki.

W naszej okolicy taka chatka bywa budowana w ten sposób: wbija się w ziemię drewniane pale, wyplata chrustem i oblepia gliną. Tę okrągłą „budowlę” nazywa się trawą. Wnętrze dzieli się niskimi ściankami na kuchnię (trzy kamienie pod garnek) i coś w rodzaju sypialni. Jest oczywiście i przedsionek. Najczęściej rodzina jest liczna, bo dzieci bywa do 10-ciu albo i więcej, więc sypia się wszędzie, na matach rozłożonych na słomie. Rzadko można spotkać łóżko, krzesło lub inne meble. Dom otacza płot wyplatany chrustem. Dalej sad bananowy, z którego chatki zazwyczaj nie widać. Goście zatrzymują się przy wejściu do ogrodzenia. Dopiero na zaproszenie domowników mogą wejść na podwórko, gdzie załatwia się wszystko, także zaopatruje chorych leżących na matach. Trzeba być bardziej zaprzyjaźnionym z rodziną, by zostać zaproszonym do wnętrza chatki, albo trzeba być misjonarzem, który został wezwany do bardzo ciężko chorego, którego już nie można wynieść przed dom.

To na razie tyle o tych wędrownkach, w czasie których „pali misjonarza słońce”. Czy rzeczywiście pali? Zapewne zdarza się to w gorących krajach Afryki, ale w Burundi – pisałem już wiele razy, ale nie chcecie uwierzyć – wcale nie jest gorąco. Zwłaszcza u nas w Mpindze, gdzie klimat jest idealny! Od dziesięciu lat wisi w Mpindze specjalny termometr, wykazujący najniższą i najwyższą temperaturę. Od dziesięciu lat nie było niżej niż 13 stopni Celsjusza i nie było wyżej niż 29 stopni! Na niższych terenach naszej parafii jest ciepło, ale tylko przez południe. To prawda, że słońce tu działa inaczej niż w Europie, ale od tego są ciemne okulary...

Nie pali więc słońce i nie „zabija pragnienie i głód”. Jak wiecie, są w Afryce kraje, które dotknęła klęska suszy. Tam wodę sprowadza się z bardzo daleka i rozdziela kroplami. W Burundi wody mamy dosyć. To prawda, że przez 4 - 5 miesięcy okresu suszy nie spada u nas kropla deszczu, ale przecież i przez ten okres nie wysychają górskie strumyki i źródła. Wysycha tylko trawa, rośliny i krzewy. Zostają większe drzewa i zielone banany, ale dla ludzi i zwierząt wody wystarcza. To prawda, że ludzie muszą nosić wodę z daleka. My na stacji mamy dwa zbiorniki na wodę, więc nie spala nas pragnienie.

A głód? Powiada się, że Burundi jest krajem, który mógłby się stać kwitnącym ogrodem. Niestety, zniszczono lasy, więc nie utrzymuje się wilgoć. Brakuje też ludzi, którzy potrafiliby pokierować uprawą dolin obfitujących w wodę. Nawet kamieniste zbocza górskie w okresie deszczowym mogłyby dać wiele pożywienia. Niestety, gospodaruje się tu „jak za dawnych lat bywało”, stąd brakuje ludziom pożywienia, a przede wszystkim urozmaicenia w jadłospisie. Jakoś nie chcą się ludzie przekonać do uprawy jarzyn i owoców. Nie umieją też hodować kur, trzody i bydła. Tutejsze krowy prawie się nie doją (dają bardzo mało mleka).

Misjonarze jednak nie cierpią głodu. Wprawdzie pożywienie jest proste, lecz w wystarczającej ilości i dobrze urozmaicone, a czasem bywa nawet „wspaniałe” – zwłaszcza gdy nadejdzie paczka z suszoną kielbasą, co się już czasem zdarzyło. Po prostu, jak Paweł Apostoł powiadał: „Nauczyłem się obfitować i nauczyłem się niedostatek cierpieć”.

Jeszcze choć krótko o tych dzikich i drapieżnych zwierzętach. Opowiadają starzy misjonarze, że dawniej polowało się w Burundi na lwy, słonie, lamparty, a mniejszej zwierzyny było bez liku. A dzisiaj? – Przez trzy lata pobytu w Burundi tylko raz słyszałem, że stado 15-tu słoni przewędrowało przez dolinę ku pograniczu Tanzanii, raz tylko lew przeprowił się z Tanzanii przez graniczną rzekę i porwał krowę. I to wszystko. Jest jeszcze sporo drobniejszej zwierzyny, są małpy, ale ta zwierzyna nie napada na ludzi. A hipopotamy i

krokodyle? – Tak, jest ich sporo, ale tylko w jeziorach i rzekach. Jakieś trzy lata temu zjadły ponoć czarnego księdza, no ale „po cóż tam laź do nich?”. A węże – Od czasu do czasu się spotyka, w dolinach, długie nawet na 7 m długości. A w Mpindze i Musongati? – Owszem bywają te mniejsze, podobno nawet jadowite, ale jeszcze nikogo z nas nie ukąsiły. Zresztą węże nie są takie, żeby im bardzo smakowało ciało ludzkie, wolą różne żaby... Czasem widzimy ukąszonych ludzi, ale przecież udaje się ich odratować. Spotyka się także od czasu do czasu skorpiona, ale też jeszcze żadnego z nas nie użądlił. A piaskowe pchły? – Owszem, mają ludzie ogryzione palce u nóg, ale my nauczyliśmy się je (tzn. pchły, nie palce) zaraz usuwać. Zresztą nie za często się czepiają naszych nóg. A zwyczajne pchły i te „legiony wszy” – jak ktoś napisał? – Można je spotkać, jak to zwyczajnie wśród nędzy bywa, ale przecież misjonarz potrafi utrzymać czystość, nawet na stacji misyjnej w domku, a te stworzonka nie znoszą czystości.

Nie znoszą też czystości „zaraźliwe choroby”, o które pytałeś. Zapewne najbardziej zaraźliwe to gruźlica i tyfus - ale nawet wśród pracujących w szpitalach i ośrodkach zdrowia nie słyszałem o zachorowaniach. A trąd? – Trąd wcale nie jest tak zaraźliwy, jak to fama niesie. Wystarczy zwyczajna ostrożność, wystarcza umycie rąk po kontaktach z chorymi. Nad jeziorem i w dolinach można częściej „złapać” malarię, ale i na to są zabezpieczające tabletki. Trochę gorsze mogą się okazać różne pasożyty: tasiemce, robaki, ameby. Bardzo rzadko jednak słyszy się o zachorowaniu misjonarza. Jeżeli już ktoś złapie amebę, to tylko dzięki nieostrożności. Trzeba po prostu pić filtrowaną wodę.

A samotność? – Nie wiem, jak to bywa w innych krajach, ale w Burundi życie misjonarzy jest tak zorganizowane, że na każdej stacji pozostaje 2, 3 albo i 4 księży. Blisko misji bywa dom siostr zakonnych. Bywa też na niektórych misjach trzech lub nawet więcej świeckich misjonarzy. W Mpindze i Musongati jeszcze nie ma, ale może ktoś z Polski przyjedzie. To prawda, że na 3 lub 4 dni w tygodniu misjonarz wyjeżdża na stacje misyjne. Zazwyczaj jednak na misji pozostaje dwóch. A ten na stacji? – Przez cały dzień służy ludziom, więc nie jest sam, a wieczorem i w nocy, to nawet lepiej, że jest sam, bo może spokojnie spać. Wcale też, nawet w dalekim buszu, nie musi się bać ludzi, którzy „ostrzą noże i rozpalają ognisko” – jak to komuś podsuwa wyobraźnia. Pierwsi misjonarze w Burundi rzeczywiście zostali zamordowani, ale to dlatego, że nie znali języka i zostali potraktowani jako wysłańcy grasujących wtedy handlarzy niewolnikami. Dzisiaj już nikt misjonarzy nie zabija. Przeciwnie, są szanowani. A jeżeli narażają się władzom kraju, to czeka ich najwyższe grzeczne wypędzenie poza granice.

Zostaje jeszcze „czekanie na listy i tęsknota za krajem”. Listy przesłane lotniczo otrzymujemy po dwu tygodniach od daty wysłania, czasem wcześniej, a czasem później. Przesłane pocztą zwyczajną wędrują do nas przez 5 – 6 miesięcy. Zdarzyło się, że otrzymaliśmy listy po roku od daty wysłania, ale to wyjątek.

Na tęsknotę za krajem brakuje czasu. Może i czasem odzywa się „taka cicha tęsknota”, ale przecież Mpinga to polska misja, na której żyje czterech ojców i jeden brat zakonny. Obecnie także cztery polskie siostry. Do Musongati, gdzie pracuje dwóch ojców polskich i jeden brat, jest tylko 45 km! Na innych misjach misjonarze bywają często dobrani według narodowości, panuje zatem język rodzimy i wiele zwyczajów krajowych, wzbogaconych przez afrykańskie.

Prawda, jaki długi list? – To dlatego, że pytań było wiele i dlatego, że pozwolono mi ukraść chwilę czasu na stukanie na maszynie. Niestety – i tak nie odpowiedziałem na wszystkie pytania. Mam nadzieję, że resztę opowiemy sobie w następnych listach, albo jeszcze pełniej przy spotkaniu.

Na zakończenie dodam jeszcze, że budowa w Musongati postępuje. Już mury domu sięgają dachu. Do końca lipca może nawet zdążymy dach położyć! Potem zacznie się „wykończenie”, budowa zbiornika na wodę, całego zaplecza i wreszcie budowa domu dla sióstr. W sierpniu myślimy przebudować kaplicę w Kiharo. Wciąż trudno się do tego zabrać, bo teraz jeszcze egzaminy katechumenów, chrzest św., bierzmowanie i uroczysta Komunia św.

Żegnam bardzo serdecznym podziękowaniem za wszelką pomoc – tę duchową i tę materialną też! Bóg zapłać także za odpowiedź na apel o lekarstwa. Już nadchodzą paczuszki. Chciałbym każdemu z osobna podziękować i wiem, że chciałyby to zrobić s. Zygmunta, ale rozumiecie, prawda? Choć starczyłoby serca, to nie starcza czasu!

Z Bogiem!

Wasz brat Teofil k. b.

Mpinga, 4 sierpnia 1974

+ Drogi Ojciec Józefie i Drogi Ojciec Janie!

Jak wynika z listu pisanego do Ojca Eliasza jeszcze nie za bardzo daleko jesteście posunięci w staraniach o wyjazd.

Rzeczywiście z datą wyjazdu było niewyraźnie. Skoro jednak Ks. Biskup nie może wcześniej przyjechać do Polski, nie radzi się na niego czekać. Píše mi też N. O. Prowincjał, że On do Burundi przyjechałby dopiero w styczniu. I pisze, że zatem Wy możecie jechać zaraz po otrzymaniu papierów. Przyjeżdżajcie zatem jak najwcześniej. Mam nadzieję, że się w Polsce jeszcze zobaczymy, bo 23 września mam wyjechać do Rzymu dla załatwienia pewnych spraw z naszym Biskupem i N. O. Generałem. Nie wiem, ile to dni zajmie, ale będę się starał wnet do kraju zdążyć.

Może zatem się zobaczymy, ale myślę, że musicie się dobrze wypytać jak i gdzie załatwić wizę do Burundi. Jeżeli we Francji, to trzeba wiedzieć, czy się otrzyma w Polsce wizę przejazdową np. na 10 dni bez specjalnego zaproszenia od kogoś z Francji? Jeżeli takie zaproszenie potrzebne, to trzeba się o nie starać.

A może byłoby lepiej pomyśleć o Belgii? Z Brukseli są bezpośrednie samoloty do Bujumbury i to często. Zatrzymać się można u naszych Ojców Karmelitów, albo u Ojców Białych – może to nawet łatwiejsze, bo oni postaraliby się o wizę do Burundi i załatwili bilety na samolot, jako, że mają w tym doświadczenie i mają też u siebie nasze misyjne konto. Na wszelki wypadek podają adres:

Rev. Pere THUYSBAERT,
Economat Provincial, Peres Blancs, 93, rue Frederic Pelletier,

B – 1040 BRUXELLES, Belgique.

Ojcowie Biali czyli „Societe des Missionnaires d’Afrique” mieszkają: 130, rue de Linthout, B – 1040 Bruxelles.

Jeżeli zatem jeszcze nie macie załatwione z Francją i jeżeli jeszcze nie macie biletu na samolot – to może rzeczywiście pomyśleć o Belgii? Trzeba się oczywiście poinformować w Ambasadzie, czy tam można się zatrzymać na wizę tranzytową czy turystyczną, i jakie są po temu warunki?

Gdybyście się zdecydowali na Belgię, to napiszcie słówko do Ojca Thuysbaert, żeby Was przyjął i koszty utrzymania pokrył z naszego konta: P. Carmes, Ruyigi, Mpinga, Burundi, compte 81.63.

To tak piszę na wszelki wypadek, bo myślę, że sobie dacie radę i do Burundi traficie, choćby nawet samolot został uprowadzony. Oczywiście dajcie znać, choćby telegramem, kiedy się zjawicie, bo przecież ze stolicy do Mpingi jeszcze 200 km, więc pieszo byłoby Wam trudno przywędrować.

Przepraszam, że ten list taki nijaki – chcę go wysłać jutro, a dzisiaj coś mnie malaria męczy. Nic strasznego, ale zawsze to głupio się pisze. Jutro zaczynam 8-dniowe rekolekcje z naszymi Siostrami, do których przyłączyła się jeszcze jednak polska dusza z Szarytek.

A może przy jakiej okazji dowiedzie się, który Zakon w Polsce myśli o misjach, albo który mógłby pomyśleć? A może któraś diecezja ma księży ochotnych – nasz biskup chce znaleźć choćby 200 księży do swojej diecezji. Mam mu w tym pomóc, więc byłoby dobrze, żebym wiedział, gdzie się należy zwrócić.

To na razie, bo przecież wnet się zobaczymy i porozmawiamy. Serdeczne pozdrowienia i uściski. Serdeczności dla wszystkich Ojców i Braci!

br. Teofil

Listy S. Zygmunty, Karmelitanki Dzieciątka Jezus z pierwszego listu:

Mpinga, 18.12.1973

Nie możemy sobie uświadomić, że to już Afryka. Przypominają nam to gromady dzieci i starszych przychodzących codziennie na misję. Przychodzą na lekcje katechizmu, do szkoły, po pomoc lekarską. Już na drugi dzień po naszym przyjeździe przyszła ich cała gromada z ranami prawie do kości, z poodpadanymi paznokciami z powodu pewnego rodzaju pchły, która gnieździ się pod paznokciami i znosi tam jaja. To powoduje silne swędzenie i owrzodzenia. Prawie wszyscy proszą o lekarstwo na robaki. Szczególnie glista ludzka i tasiemiec są tu rozpowszechnione.

Ubranka ich to jeden strzęp nie prany od początku. Czasem trudno rozpoznać, jaki to rodzaj ubrania, spodenki czy koszula, bo rękawy służą za nogawki. Ich dom, to coś w rodzaju okrągłej szopy. Ściany to patyki, nierówno powbijane w ziemię. Szpary między patykami pozalepiane są gliną. Na wierzch tej szopy ponarzacane są liście z bananów, które zwisają aż do ziemi. Ten dom, w którym byłam, był w środku przedzielony czymś w rodzaju sztachet z

patyków. Wewnątrz pierwszej części było coś w rodzaju pryczy z dwoma matami, w drugiej mata leżała na ubitej ziemi, a na niej chora i obok ognisko między kamieniami. Dym wychodził przez dziury w powypadanej glinie. Przed domem gromada dzieci nagich i ciekawych...

W ogrodach pracują przeważnie kobiety, pracują ze swymi małymi dziećmi przywiązanymi do pleców. Za każdym ruchem matki, dziecko podskakuje na plecach, przylegając noskiem do pleców mamy. Jedynym narzędziem uprawy jest motyka. Wczoraj byłam w jednej placówce filialnej naszej parafii z Siostrą, która opiekuje się trędowatymi. Praca polega na tym, że raz w miesiącu objeżdża punkty, gdzie gromadzą się chorzy, by rozdać im lekarstwa. Jest to bardzo mało, ale i bardzo dużo; bo poza tym nic się dla nich nie robi. Aż litość zbiera. Trzeba zobaczyć na miejscu, by uwierzyć – tych chorych bez stóp, bez palców, bez nosów, z ranami – i z jednym bandażem przydzielanym raz na miesiąc.

Tyle na razie. W następnych listach ciąg dalszy. Już zaczynamy uczyć się języka. U Ojców będziemy do Bożego Narodzenia, potem do końca stycznia na praktyce w szpitalu w Kirembie, a potem pół roku na kursie języka miejscowego kirundi.

Z Bogiem!

S. M. Zygmunta od Jezusa

Uwaga:

Jeżeli ktoś pragnie pomóc, to prosimy ofiary pieniężne oraz inne rzeczy kierować pod adres: Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus, ul. Wiejska 25 – 41-200 Sosnowiec.

z drugiego listu s. Zygmunty:

Bujumbura, 29.01.1974 r.

... Bóg zapłać za wszystkie listy, które sprawiły nam dużo uciechy. Czujemy się dobrze. Z językiem mamy dużo pracy, by jak najprędzej zrozumieć ludzi. Z Mpingi wyjechałyśmy 28 grudnia 1973 r. Robimy praktykę w szpitalu w Kirembie. Jest tutaj szpital, ośrodek zdrowia i ośrodek szkolenia sanitarnego. Od 28 stycznia do 2 lutego 1974 r. jestem w Bujumbura (stolica), na zjeździe pracowników ośrodka szkolenia sanitarnego. Pracy przy chorych jest wiele, że we trzy będziemy zajęte i jeszcze kilkanaście dziewcząt trzeba będzie zatrudnić.

Nasze skrzynie jeszcze nie przyszły. Ojcowie mówią, że można się ich spodziewać w marcu. Będziemy mogły zobaczyć je dopiero na Wielkanoc, bo 11 lutego jedziemy na kurs języka kirundi: wtedy zobaczymy, w jakim stanie doszły...

Nasza aklimatyzacja przebiega spokojnie. Wprawdzie klimat jest męczący, szczególnie w dzień jest gorąco, ale za to w nocy chłodno – to można odpocząć. Na razie jesteśmy w brązowych habitach, bo białe jeszcze nie przyszły. Biały habit konieczny jest ze względu na robactwo, którego na brązowym nie widać. Włosy stają jeża na widok całych legionów europejskich „przyjaciółek”, które spacerują po chorych przychodzących lub

przyniesionych do szpitala, często z tyfusem. Także ziemia i pył są koloru czerwonego i żeby być jako tako czystym, trzeba codziennie lub co drugi dzień zmieniać habit. Po godzinie jest się brudnym jak prosiątko.

Piszę o rzeczach, które mogą odstraszyć, ale to nie wszystko, co chcę powiedzieć. Wprost nie do uwierzenia ilu chorych, a jakie rany. Ale największą plagą są robaki. Trzeba zobaczyć te dzieci z rozdętymi brzuskami i powiększonymi wątrobami, z anemią złośliwą z powodu robaków. Wszyscy mają glistę ludzką i antylostom, który powoduje złośliwą anemię. Mamy mikroskop do badania masowego, ale najczęściej nie jest potrzebny mikroskop, bo dzieci wymiotują po kilkadziesiąt glist jednocześnie i często umierają z zatrucia lub uduszenia, ale w całym Burundi nie można dostać ani deka piperazyny. Do przeprowadzenia kuracji dla 60 tys. ludzi w naszej parafii (Musongati i Mpinga) potrzeba co najmniej 100 kg piperazyny. Jak ją zdobyć? Na naszym terenie nikt się tym jeszcze nie zajął. Inne misje sprowadzają ze swoich krajów, a tutaj dzieci pokazują brzuszki i mówią *inzoka*, tj. robaki – i nie mają możliwości ich zabić. Może by się udało zdobyć tę PIPERAZYNE, by mogła pójść w następnym transporcie bagażów? Na przybycie leków trzeba liczyć pół roku.

Do ośrodka zdrowia w Kirembie przychodzi dziennie około 300 ludzi, by prosić o leki, zrobienie opatrunków, o radę. I trzeba tych ludzi zaopatrzyć. Ale jak i czym? U nas to samo będzie. Jeszcze nie ma ni naszego domu, ni szpitalika, a już na drugi dzień po naszym przybyciu cała gromada przybyła prosząc o pomoc. Idą pieszo całe dziesiątki kilometrów, a ciężko chorych niosą na plecach na noszach (coś w rodzaju plecionej opałki, przymocowanej do dwóch długich kijów). Ale idą i niosą, bo nie ma innego wyjścia.

Często im chorzy w drodze umierają – to go natychmiast zakopią, bo bardzo się boją umarłych.

Siostry Kochane – jeśli zdołamy tu coś zrobić, to jedynie dzięki Wam, bo na cóż się przyda nasza diagnoza, jeśli nie będzie leku? Bóg zapłać za wszystko już teraz.

Ludzie tu są bardzo przyjemni i biedni. Już dużo razy przyłapałam się na tym, że wcale nie spostrzegłam, że oni mają inną skórę niż my. Różnica rasowa zupełnie zanika w obcowaniu. Co nas dzieli, to to, że się nie rozumiemy, że nie możemy sobie pogadać, bo język ich jest trudny i trzeba całych lat konwersacji, żeby można było rozmawiać swobodnie. Jest bardzo dużo chorych i potrzeba nam wielkiej współpracy wszystkich Drogich Sióstr. Jedynie razem możemy coś zrobić.

Zaburzenia polityczne jeszcze się nie uspokoiły. Giną jeszcze setki ludzi, tylko nieoficjalnie i jest tu niesprawiedliwość nie do uwierzenia. Ale choćby dlatego warto trwać, by ukazać miłość i drogę do Chrystusa tym, którzy Go jeszcze nie znają.

Co do nas, to musimy już myśleć o materiale do urządzenia porodówki i ośrodka zdrowia sanitarnego, tzn. opieki nad dziećmi niedożywionymi i pouczenia matek, jak mają przygotowywać pożywienie oraz leczyć dzieci. Do tego potrzeba nam: bielizny na porodówkę – około 15 łóżek, 2 zmiany prześcieradeł, poszewki, podkłady ceratowe lub gumowe i płócienne, worki płócienne na rzeczy osobiste mamusi, ręczniki, koszule dla kobiet i dla ciężko chorych, których trzeba zatrzymać na miejscu. Dla noworodków: pieluszki, koszulki, kilka serwet płóciennych zwykłych, które można sterylizować, rękawice gumowe cienkie, maszynki do golenia na żyłkę, 2 wagi, jedna dla noworodków, drugą dla dorosłych, butelki ze smoczkami i maszynki do odciągania pokarmu, cewniki do cewnikowania i cieniutkie cewniki do karmienia zgłodniałych dzieci przez nos. W te rzeczy musimy się zaopatrzyć

przed otwarciem porodówki. Jeśli znajdą się one w rzeczach ofiarowanych, to prosimy pieczołowicie je opakować. Kupienie ich jest chyba niemożliwe, bo drogo kosztują. Rzeczy takie jak koce, łóżka, stoliki, będziemy organizować na miejscu.

... Nasz biskup Ruhuna przyjedzie w tym roku do Polski...

Tyle na razie. Z Bogiem! Złączone w modlitwie i wspólnej służbie. Idźmy z Dzieciątkiem, by nieść Je braciom!

S. M. Zygmunta

Z trzeciego listu S. Zygmunty:

24 lutego 1974 r.

Ukochane Siostry, Kochani Przyjaciele Misji!

Z ziemi afrykańskiej przesyłamy Wam serdeczne pozdrowienia i wyrazy wdzięczności i pamięci.

W Mpindze przebywałyśmy do Bożego Narodzenia. 27 grudnia 1973 roku wyjechałyśmy na praktykę do szpitala odległego około 180 km od Musongatti (gdzie za pół roku osiadziemy na stałe), by tutaj zobaczyć sposób leczenia i zetknąć się bliżej z chorymi. Szpital ten jest ufundowany i utrzymywany przez jedną z diecezji włoskich (Brescia – diecezja, w której urodził się Paweł VI). Chorych tu nie brak. Nędza wygląda z każdego kąta. Przeciętna rodzina ma mięso raz na rok, około Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, większość z nich nie zna wcale mleka. Są wprawdzie krowy, ale aby być jej posiadaczem, trzeba być bogatym. Zresztą te krowy o wielkich rogach dają na dzień przeciętnie 1 litr mleka. Rasa europejska nie wytrzymuje tutejszych warunków, dlatego do tej pory misjonarze nie mogli jej przeszczepić.

Jednostronne odżywianie (słodkie ziemniaki, banany, groch, maniok) powodują kwashiorkor u dzieci, który objawia się apatią, obrzękami, olbrzymimi ranami i śmiercią. A do tego wszystkiego robak przewodu pokarmowego i pasożyty skóry.

Dzieci pokazują swoje rozdęte brzuszki i mówią: *inkoza*, co znaczy robaki, a raczej węże w brzuchu. Tak określają glistę ludzką, która tutaj jest plagą. Dla przykładu podam. Jednemu małemu dziecku podałyśmy piperazynę i jaki skutek? Wyszło z niego 136 długich glist, no i brzuszek, który robił wrażenie, że skóra popęka lada chwila, opadł do rozmiarów normalnych. Takich przykładów jest tysiące.

Całe nieszczęście, że w Burundi nie można dostać tej piperazyny, a ileż jej potrzeba na 60 tysięcy parafian ?

A jaka nasza tu rola? Widok tylu chorych, tylu trędowatych, tylu biednych ludzi, którzy z powodu nieświadomości, nie umieją się ustrzec ani wykorzystać darów przyrody – powoduje ból w sercu. Trzeba coś zrobić, aby przez czyny zbliżyć ich do Chrystusa. Wielu z nich jest jeszcze poganami. Według ostatnich danych statystycznych – na 60 tys. ludności

naszej parafii jest 18 tys. katolików. A reszta? – czekają na misjonarzy, którym potrzeba nie tylko świętości, ale i aktywności.

Dziękujemy bardzo za modlitwę. Ma ona większą wartość aniżeli wszystko inne. Zapomniałam dodać, że od 11 lutego jesteśmy na kursie języka kirundi. Jest trudny. Mamy dwóch profesorów Belgów – Ojców Białych. Jeden z nich jest już od 38 lat w Burundi; wykłada nam geografię Burundi, zwyczaje i socjologię. Drugi uczy nas języka – zna on dobrze siedem języków, a jeszcze dodatkowo posługuje się pięcioma w czytaniu i prostej rozmowie, między innymi polskim, którego zaczął się uczyć, gdy przyjechali tu nasi Ojcowie (Karmelici Bosi, przed 2 i pół laty). Dogadamy się prawie zupełnie swobodnie. Trzeci profesor to Murzyn, który ma z nami rozmowy praktyczne, a czwarty to – dziecko! Każdy z nas rozmawia z wyznaczonym dzieckiem codziennie przez godzinę. Można sobie wyobrazić, jak wygląda ta rozmowa po 2 tygodniach nauki.

... w Musongati jest wielka potrzeba wybudowania ośrodka zdrowia (czegoś w rodzaju szpitalika), porodówki, ośrodka opieki nad dzieckiem, gdzie mamy mogłyby uczyć się sposobu pielęgnowania i odżywiania dziecka – ośrodka dla dziewcząt, gdzie uczyłyby się posługiwania igłą, mydłem i motyką oraz czytania i pisania. Bardzo potrzebny jest katechumenat, który równocześnie jest szkoła dla tysięcy dzieci, które nie mają możliwości kształcenia się. No i co najważniejsze dla naszego tu celu – potrzeba pomieszczenia na modlitwę – kościoła. Program wielki, pracy dużo. W jakich granicach zdołamy go zrealizować? – to zależy od Was, Kochani, my stanowimy jedynie przedłużenie Waszych serc i ramion.

Przez modlitwę i umartwienie Wielkiego Postu pomyśl choć czasem, Kochany Przyjacielu, o braciach o czarnym kolorze skóry, dla których też umarł Chrystus.

Z Bogiem!
s. M. Zygmunta
Serdeczne pozdrowienia!
s. Julianna

Uwaga: Piperazyna nie w płynie!

Z czwartego listu S. Zygmunty:

Adres: R. M. Zygmunta Kaszuba
B. P. 67 – Musongati – Ruyigi
BURUNDI Afrique

Musongati, 2.05.1974

Ukochane Siostry, Ukochani Przyjaciele Misji!

Oto po kilku tygodniach przerwy znów kilka słów. Najpierw pragniemy podziękować Wam za wszystko dobro, które czynicie dla afrykańskich braci. Jakże jesteśmy wdzięczni za każdy gest. A nasi podopieczni też potrafią być wdzięczni. Dla przykładu opiszę jeden obrazek.

W czasie ferii świątecznych spotkałyśmy się wszystkie cztery w komplecie w Mpindze, bo w Musongati jeszcze nie ma gdzie się zatrzymać. Dopiero trzeba organizować wszystko od podstaw. Dużo chorych przychodziło po pomoc. Zauważyłam z daleka wlokące się przy pomocy kija dziecko w wieku około 10-ciu lat. Robiło wrażenie nienormalnego. Gdy się przybliżyło, oczom naszym ukazała się jego twarz skrzywiona, oczy tak zaropiałe, że prawie nic nie widziało, a na policzkach strugi zaschniętej ropy, która spływała z oczu. A jego nogi i ręce! Palce u nóg i rąk, to baloniki spuchnięte i zaropiałe. Bez trudu było można rozpoznać infekcję spowodowaną pewnym rodzajem pchły, która jak kleszcz wgryza się w skórę pod paznokciami powodując stan zapalny. Zabrałyśmy się do niego z s. Julianną. Ja oczy, a s. Juliana nogi i ręce. Wyciągała całe gniazda jajeczek przez około 3 godziny, a chłopak siedział cicho, nie wydając ani jednego jęku. Po skończonym zabiegu pod paznokciami i podeszwami ukazały się głębokie szczeliny wydrążone przez te miniaturowe stworzonka. Po założeniu opatrunków wyprawiliśmy chłopca do domu. Obserwując go odchodzącego myślałam: „na pewno będzie spał tej nocy, bo mu ulżyło”.

Myślałam tak, mając we wspomnieniu ostatnie dwie noce nie przespane z powodu tego małego „przyjaciela” pod paznokciem w nodze, którego nie mogłam wydostać. Ale pomyliłam się. Rano, ledwo świt się zrobił, chłopak stał już pod misją. Był uśmiechnięty od ucha do ucha. Trzeba było zobaczyć ten uśmiech, te rzędy białych, lśniących zębów. Okazało się, że nie spał. Ale dlaczego? Jeśli tak się mogę wyrazić, to powiem, że nie spał ze szczęścia, z radości, że się nim zajęto: bo czuł się właścicielem dużej nowej agrafki, którą dostał do wyciągania nowych pcheł, gdyby go atakowały.

Ten szczery uśmiech był więcej niż zapłatą za te godziny spędzone przy nim. A takich wypadków dużo, na porządku dziennym.

Wczoraj odwiedziłam jedną z afrykańskich rodzin. Przyjęli mnie w swoim domu w kształcie beczki, z wyschniętego błota, pokrytym od góry trawą, bez drzwi. Zsiadłam z nimi na ziemi, na macie uplecionej z trawy. W środku paliło się ognisko, a dym unosił się w górę wydostając się przez trawę na dachu albo przez otwór wejściowy. W środku czarno od sadzy i z braku światła. Wracając do domu w ulewnym deszczu myślałam, że my Europejczycy o białej skórze, mieszkając w warunkach naszych afrykańskich braci bylibyśmy odrażająco brzydzy, bo wszystko znać na białej skórze. Jakież cuda w przystosowaniu natury! Ale Bóg zapewne nie chce ich nędzi, bo jest Miłością i Sprawiedliwością. Dlatego pobudza serca do czynu. To miłość Ojca przemawia przez Wasze czyny, Ukochani Przyjaciele. I za tę miłość dziękujemy Wam z całego serca!

Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus z Burundi

S. M. Zygmunta

Do Dzieci:

Musongati, 2 maja 1974r.

Ukochane Dzieci!

Dowiedziałyśmy się o wielkiej ofiarności i dobroci Was wszystkich dla afrykańskich dzieci. Dziękujemy Wam za to z całego serca. Dziękujemy Wam za każdą rzecz, którą się dzielicie, a najwięcej dziękujemy za modlitwę o to, by jak największa ilość Murzynów poznała Pana Jezusa. Opowiadałyśmy tutejszym dzieciom o Was, o tym jak uczycie się w szkole i co robicie po zajęciach szkolnych. Słuchały z otwartą buzią i szeroko rozwartymi oczętami. I mówiły – powiedz *bwakeye* – tzn. „dzień dobry” dzieciom z Polski. A wiecie, co robią dzieci tutejsze? Wstają przeważnie o szóstej rano, bo o tej porze punktualnie robi się dzień i idą szukać drzewa i wody. Idą często bardzo daleko, bo Burundi to kraj górzysty, a woda jest tylko w dole. Niosą wodę na głowie w naczyniach zrobionych z pewnego rodzaju owocu, podobnego do dyni, tylko wysuszonego i wydrążonego w środku. Po powrocie do domu zjadają, jeśli coś zostało z wieczora i idą w pole. Tam razem z rodzicami uprawiają motyką groch lub słodkie ziemniaki. Nie ma tu pługa ani koni, ani traktora, dlatego uprawa pola zabiera dużo czasu. Przychodzą do domu przed wieczorem i zabierają się do gotowania: grochu, bananów lub manioku (korzenie o smaku ziemniaków).

O zmroku cała rodzina schodzi się do domu zbudowanego w kształcie beczki z wysuszonego błota i pokrytego długą trawą. W środku tego domu pali się ognisko. Cała rodzina zasiada na ziemi wkoło ognia i spożywa przygotowany przez mamę posiłek. Następnie idą spać. Największym nieszczęściem dla nich jest iść spać na głodnego, to znaczy nie mieć co jeść, bo jedzą przeważnie raz na dzień do syta (wieczorem), a rano jedzą, jeśli coś z wieczora zostanie. Oto dzień dziecka w Burundi. Nie chodzą do szkoły, bo nie ma szkół. Na 100 dzieci, tylko 4 może się uczyć, a dla innych nie ma miejsca. Są skazane na to, że nie będą umiały czytać i pisać.

A wiecie, jakie jest ich największe pragnienie? To posiadać zeszyt i agrafkę. Zeszyt, by uczyć się pisać, bo nawet te, co chodzą do szkoły, nie mają zeszytów. Piszą na deseczkach węgielkiem, a później ścierają paluszkami. A wiecie, po co agrafka? Jest im potrzebna do wydłubywania kolek, które wbijają się im w boscie nóżki, a przede wszystkim do wydłubania takich skaczących kleszczyków, które są mniejsze od główki szpilki, a które wgrzyzają się pod paznokcie.

Dzieci tutejsze bardzo lubią się bawić. Często ich widać goniących za piłką. Ale jaką piłką? Jest to coś okrągłego, zrobionego z liści bananów owiązanych trawą. Gonią i podbijają tę „piłkę”, która im się wcale nie chce odbijać, tylko opada jak kamień. Często chorują, bo mają przeważnie tylko jedno okrycie, a nierzadko tylko strzępy, które w porze deszczowej mokną i suszą się na nich. Przy tym wszystkim są bardzo wesołe i lubią śpiewać, jakby zupełnie nie zdawały sobie sprawy z tego, że może być inne życie. Zresztą o innym życiu słyszą dopiero od nas, ale czy je rozumieją? Czy to, że nasze polskie dzieci, że Wy, kochane dzieci, chodzicie czyste i ubrane do szkoły, mieści się w głowach Waszych kolegów i koleżanek z Afryki? Nie wiem. Ale może i dla nich kiedyś przyjdzie dzień inny.

Oto obrazek z życia Waszych kolegów. Jakże inny od waszego codziennego życia. Dziękujemy Wam, Kochane Dzieci, dziękujemy Waszym Rodzicom i pozdrawiamy Was serdecznie.

S. M. Zygmunta od Jezusa
Karmelitanka Dz. Jezus z Burundi

MODLITWA MISJONARZA

S. M. Imelda – Felicjanka

Mam Ciebie zanieść Boże
w mych nieudolnych ustach
przez wyspy, lądy, morza
i piach gorących pustyń.

Położyć Cię jak balsam
na rany ludzkiej biedy
i zbierać łzy przez palce,
gdy wierzysz mi na kredyt.

Chcę zanieść w moich oczach
paschalną żagiew ognia,
by brat, co stoi w mroku,
mógł się Twym światłem ogrzać.

A kiedy patrzeć będę
w twarz czarną czy brązową,
odczytać mam bezbłędnie,
na czyj stworzona obraz.

Posyłasz plony zbierać
- choć siał kto inny zgoła,
i każesz dziś otwierać,
co inny zamknął wczoraj.

Wiem, dotkną mnie pokusy,
jak trudno owoc nieba
nachylić ludzkiej duszy,
gdy usta głodne chleba.

Tam, dokąd mnie posyłasz,
pozwól mi świadczyć wiernie,
chcę głosić Twoje Imię
ochrzczonym, żywym sercem.

Liczby, które dają do myślenia

Wyobraźmy sobie, że ludność świata zostaje zgromadzona w jednej wiosce, która ma tysiąc mieszkańców. Taka wioska liczyłaby:

60 Północnych Amerykanów,
80 Południowych Amerykanów,
86 Afrykańczyków
210 Europejczyków,
564 Azjatów i innych

300 mieszkańców stanowiąliby biali,
700 kolorowi.

Wśród nich byłoby tylko 300 chrześcijan.

Połowa całego dochodu znajdowałaby się w rękach 60 osób.

700 mieszkańców – to analfabeci.

500 nie ma wystarczającej ilości jedzenia lub rodzaj ich pożywienia prowadzi do chorób.

600 z nich mieszka w szałasach nędzy.

ŻNIWO WIELKIE, ALE ROBOTNIKÓW MAŁO

W Czarnej Afryce, do której zaliczamy kraje na południe od Sahary oraz Nigeru, Sudanu i Etiopii, a więc i Burundi, gdzie pracują nasi ojcowie z Polski, sytuacja Kościoła w ubiegłym roku przedstawiała się następująco:

<u>rok</u>	<u>mieszkańcy</u>	<u>katolicy</u>	<u>%</u>	<u>katechumeni</u>
1912	130.000.000	2.105.00	1,6	656.578
1939	169.000.000	10.532.801	6,3	2.291.606
1963	291.398.821	27.438.120	9,4	3.896.869
1973	429.990.697	31.782.131	9,5	4.000.990

Największym problemem misyjnym w Afryce to brak personelu. W związku z postępującą, mimo wszystko, afrykanizacją na wszystkich odcinkach życia, stawia to przed Kościołem szczególne zadanie troski o kler rodzimy.

Drugim problemem jest szkolnictwo, zwłaszcza szkolnictwo średnie i wyższe, które oczekuje jeszcze pomocy ze strony misji. Odczuwa się ogromny brak kadr nauczycielskich, którym Kościół stara się zapobiec przez rekrutację świeckich pomocników misji. Najwięcej potrzeba ich na szczeblu uniwersyteckim.

Stan Kościoła w całej Afryce przedstawia się następująco: na 429 mln mieszkańców, katolików jest 31.782 tys., protestantów natomiast 22.248 tys., a prawosławnych 11.642 tys. W sumie jest to liczba: 65.672 tys.

Kościół katolicki tworzy 318 diecezji, posiada 4.505 kapłanów diecezjalnych i 11.933 zakonnych, 16.612 braci zakonnych, 2.583 kleryków i 30.640 sióstr.

POWRÓT MISJONARZA-KARMELITY DO POLSKI

Po 40 latach pracy misyjnej wrócił do kraju Przewielebny O. Hipolit Putek. Dziś, kiedy Polska Prowincja posiada własną misję w Burundi, kiedy zainteresowanie misjami wzrosło, wyjazd na misje nie budzi już tak wielkiego zainteresowania, jak 40 lat temu, kiedy Polska Prowincja mając jeszcze niewielu kapłanów, wspaniałomyślnie zgodziła się na wyjazd do Indii jednego z najlepszych i najzdolniejszych synów.

W. O. Hipolit urodził się w Choczni koło Wadowic, dnia 21 stycznia 1910 roku. Jako 16-letni chłopiec złożył pierwsze śluby w naszym domu zakonnym w Czernej i wnet został wysłany do Rzymu, celem kontynuacji nauki przerwanej nowicjatem. Był jednym z pierwszych alumnów naszego międzynarodowego Kolegium w Rzymie. Po skończeniu teologii moralnej, został wyświęcony na kapłana 2 lipca 1933 roku.

W rok po święceniach, wyjechał do Alvaya, naszego seminarium międzydiecezjalnego, gdzie został mianowany profesorem teologii moralnej i prawa kanonicznego.

Do pracy misyjnej był bardzo dobrze przygotowany, bez trudu opanował język włoski, francuski, angielski i hiszpański oraz dwa narzecza hindu.

Nie skorzystał ani razu z wakacji, które przysługują misjonarzom. Przez 40 lat przebywał z dala od ojczyzny, z dala od rodziny, gdyż okazało się, że listy wcale do niego nie dochodziły.

Na wiadomość, że zapadł na zdrowiu i na misji pracować nie może, Przewielebny Nasz Ojciec Prowincjał poprosił N. O. Generała o pozwolenie na powrót do Polski. Sam O. Hipolit uważał, że skoro złożył ślub pójścia na misje, na misjach powinien pozostać.

W styczniu tego roku powitaliśmy go na ziemi polskiej. Przywiózł go z Rzymu samolotem W. O. Michał Machejek.

Zamieszkał w Poznaniu, gdzie kształcą się przyszli misjonarze, jako prawdziwa i żywa relikwia misyjna.

Oby Bóg jak najdłużej zachował go pośród nas, by mógł nadal budować nas swym umiłowaniem Karmelu i dusz nieśmiertelnych, dla których 40 lat w trudzie i mozole pracował.

O. Bogusław od Bożego Miłosierdzia
Sekretarz Prowincjalny
Misji Karmelitańskich